ŚWIATEŁKO.

PISEMKO

poświęcone

MATKOM i DZIECIOM

przez

Emmę *z Kurowskich* **Puffke.**

Poszyt II.

LESZNO.

Nakładem i czcionkami Ernesta Günthera.

1862.


Biblioteka Jagiellońska
1002509116



Treść:



O potrzebie wzbudzania w dzieciach uczuć religijnych od najrychlejszéj młodości.

Wykazaliśmy w pierwszym naszym artykule wady, jakie zwykle popełniają matki w pierwszych latach wychowania swych dziatek. Dzisiaj niech nam będzie wolno wspomnieć o tém, co jest najważniejszą podstawą wykształcenia i źródłem wszelkiego szczęścia człowieka, to jest o wychowaniu religijném dziecięcia od pierwszych chwil jego istnienia.

Wiara jest źródłem wszelkiéj mądrości, mówi pismo św. Wiara więc, czyli poznanie Boga, powinno być początkiem wszelkiego kształcenia, wszelkiéj nauki dawanéj dziecięciu.

Człowiek w wieku dziecięcym jest najskłonniejszy do przyjęcia tego wzniosłego wrażenia, które na całéj pielgrzymce jego życia ma mu służyć na światło przewodniczące.

Dziecię, niemające jeszcze własnego sądu o rzeczach, wierzy łatwo w to, co mu starsi powiedzą; kocha wszystko, co je otacza. Wrażenia słodkie i głębokie malują się czasem w jego oku, lecz ich w słowach wyrażać jeszcze nie umie. Twarz dziecięcia, jaśniejąca swobodą, szczęściem i pokojem, służy nam za wzór piękności aniołów, to jest duchów czystych, nadziemskich. Cała jego istota jest jeszcze bardziéj zbliżoną do niebios niżeli do ziemi, i w tym to właśnie wieku najłatwiéj zapoznać je z Bogiem.

Religia jest, że tak powiem, uśpiona w jego sercu, trzeba ją tylko obudzić.

Kiedy dziecię zaczyna rozpoznawać otaczające je przedmioty, kiedy do kwiatów, do gwiazd, do ptasząt uśmiecha się i wyciąga rączęta, wtedy dusza jego tyle jest rozwiniętą, że w niém miłość ku Dawcy wszystkiego co dobre i piękne nie bez wielkich korzyści na przyszłość zaszczepić można.

W duszy bowiem każdego człowieka spoczywa święte przeczucie istności najwyższéj Istoty, która rządzi i utrzymuje w niepojęty i najmędrszy sposób cały ogrom świata. O téj prawdzie przekonują nas dzieje całéj ludzkości. Każdy człowiek czuje mimowiedzy potrzebę poznania Boga i składania mu dzięk swoich. Że zaś istoty Boga z jednéj strony słabym rozumem człowiek dociec niezdoła, a przecież z drugiéj strony czuje jego byt i swą zależność od niego, przeto chcąc mu się za odebrane dobrodziejstwa i opiekę wywdzięczyć, tworzy sobie ideę o Bóstwie i ztąd pogrąża się w błędach bałwochwalstwa, jak to widzimy w tylu krajach Azyi i innych częściach świata, gdzie jeszcze światło ewangelicznéj prawdy nie zabłysło. Człowiek może, przywiedziony przez różne wady wychowania i błędne spostrzeżenia, zapierać istnienia Boga, lecz wtenczas dusza jego jest w stanie ciągłego cierpienia, ciągłéj tęsknoty, suchości i walki saméj z sobą.

Więc człowiek przynosi już na świat z sobą to przeczucie uwielbiania swego Stwórcy, a wychowanie powinno to uczucie rozwinąć i wykształcić, i to jest najwznioślejszém i najważniejszém jego zadaniem.

Do was to, matki chrześcijańskie, należy rozwijać to najszczytniejsze z uczuć ludzkich od najrańszych chwil istnienia dziatek waszych, i postępować w miarę

rozwijania się jego zdolności. Jest to waszą najświętszą i najważniejszą powinnością, i biada téj niewieście! która zadania tego pojąć i zrozumieć nie chce; będzie ona kiedyś smutne z tego zaślepienia widziała skutki.

Lecz cóż jest właściwém zadaniem wychowania religijnego? Jest to nauczanie młodéj duszy wznoszenia się ku Bogu. Bez wiary, że Bóg najwyższy zna i kocha każde stworzenie; bez nadziei, że prośby nasze zostaną od niego wysłuchane; bez tkliwéj miłości ku téj najwyższéj Istocie, która jest tak niewypowiedzianie wysoko nad nami, a jednak tak jest bliską sercu naszemu, niczem byłaby religia, a dusza znękana przestałaby wkrótce silić się w wyszukiwaniu sposobów zapoznania się z tą Istotą, któréj istność przeczuwa.

W dziecięciu obudzić tylko można uczucie wiary, nadziei i miłości ku Bogu, lecz ażeby ustalić późniéj ten węzeł pomiędzy Bogiem a stworzeniem, ażeby w pełnéj wiedzy i woli czcić go i żyć, jak tego po nas wymaga mądrość najwyższa, do tego jedyną drogą jest zapoznanie dziecka gruntowne z prawdami religii naszéj. A te prawdy święte, nieomylne, ta mądrość, która jest wystarczającą we wszystkich stósunkach życia naszego, zawartą jest w pismie św. starego i nowego testamentu, i w przykazaniach boskich i kościelnych.

Jezus Chrystus przyjąwszy na siebie więzy człowieczeństwa, usunął nam niejako te przeszkody, które stawia natura ludzka w zapoznaniu się i pojednaniu się z Bóstwem. Stawiając się wśród niezmierzonéj przestrzeni, która rozdziela stworzenie od Stwórcy, słabe ułomne istoty od źródła wszelkiéj mądrości i wielkości, zbliżył się jako Bóg do serca naszego i stał

się przystępnym dla najułomniejszego pomiędzy nami. Ta niezliczona liczba prostaczków, skazana, dla ciężkiéj pracy, na wieczną ciemnotę duchową, została przez niego wyniesioną do równéj godności z mędrcami i mocarzami tego świata. „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie.“ (Mat. V, 3. wiersz.)

„Dopuśćcie tym dzieciom przyjść do mnie, albowiem ich jest królestwo niebieskie.“ (Mat. 19, 14.) W tych to słowach najlepsza zawiera się nauka dla rodziców, by w dziatki swe wpajali od najrychlejszéj młodości uczucia religijne.

Nauka religii w całéj swéj objętości nie może naturalnie być rozwiniętą przed oczyma dziecięcia. Poczet cały prawd, które ona zawiera, nie może być objętym przez umysł jego; lecz wszystko to, co należy do miłości Boga i bliźniego; wszystko, co duszę naszą wznosi i uzacnia; wszystko, co ją wspiera i zagrzewa, aż po nad zimnym brzegiem grobu; wszystkie te uczucia powinny być wzbudzone w dziecięciu w pierwszych latach jego życia. Wprawdzie sprzeciwia się to pojęciu niektórych pedagogów czasu naszego; mówią oni, że pojęcia o Bogu i objawieniu jego są dla dziecka za wzniosłe; aleć kiedyż to pojmie i człowiek dorosły Boga w jego niezmierzonéj wielkości? Czyż i najuczeńszy nawet człowiek zbadał, lub zdoła badaniami swemi zgłębić Boga? Czyliż sam Zbawiciel nie stawia nam wszystkim na wzór dziecięcéj prostoty i pokory, gdy mówi: „Jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie się jako dzieci, nie będziecie mieli ze mną żadnego udziału. (Mat. 18, 3.)

Cechą chrześcijaństwa, jakie nam objawia ewangelia, jest miłość Boga i bliźniego. W téj to więc miłości powinniśmy wychowywać dziatki nasze. Nie-

można wątpić, iż te uczucia im rychléj wzbudzane, tém głębiéj zakorzenią się w duszy człowieka.

Jeżeli religią zaczniemy udzielać dzieciom jako naukę w późniejszym dopiero wieku, jeżeli ona nie weźmie początku w ich duszy, we mgle dziecinnego wieku, jeżeli w ich sercach znajdą się wspomnienia od niéj dawniejsze, wtenczas nie stanie się już ona nierozdzielną towarzyszką na drodze ich życia.

Ze wszystkich wzniosłych idei, któremi religia chrześcijańska nas oświeca, najwłaściwszą do utrzymania czystości serca jest niezaprzeczenie myśl o wszędobecności Boga, a ta wiara najłatwiéj się w dziecięcym wieku zaszczepia. Bojaźń boża jest także mocnym bodźcem do dobrego, lecz miłość jest zaiste szlachetniejszym powodem.

Ta epoka, kiedy wszystko uśmiecha się do nas, gdy wszyscy kochają nas i opiekują się nami, jest najwłaściwszą do wzbudzenia wyobrażenia o Bogu dobroci, który jest ojcem naszym w niebiesiech. A jakaż błogość, jakież nieograniczone szczęście spływa na nas z tego uczucia? Jakiémże dobrodziejstwem jest ten zasób nadziei, który się nigdy nie wyczerpie, który nam ukazuje inny świat po za cierpieniem ziemskiém, doskonałości niebiańskie po niedołężnościach ludzkich, rozkosze wiekuiste po łzach i troskach tego życia? Dla człowieka przejętego świętemi prawdami religii nie masz samotności, nie masz wygnania, nie masz cierpień w starości, nie masz okropności przy śmierci. Bóg jest, a on wspiera go, słyszy go, przemawia do niego, wzmacnia go, spokoi go, gdy cienia śmierci otaczać go zaczną. — Światło jasne i miłe roztacza na wszystkie otaczające go przedmioty ta atmosfera miłości boskiéj; całe przyrodzenie, zwierzęta, rośliny, góry, strumyki, wszystko

przejmuje go świętém podziwieniem mądrości i wielkości Jego, bo wszystko uczy go, iż On jest ojcem naszym w niebiesiech, a szczęście i spokój z zostawania w Jego opiece, przejmuje całą jego istotę.

Religia powinna być duszą wszystkich cnót i czynności naszych. I tak zwykłe hamulce ludzi bez religii, obawa mniemania ludzkiego, honor, własny interes, użyteczność, uczucie poczciwości, które zastępują czasem religią, są tylko tak długo jakokolwiek wystarczającemi, dopókąd jaka gwałtowna burza nie wstrząśnie ich duszą. Lecz wtenczas ci ludzie upadną pod ciosami losu, nie mając żadnego punktu oparcia dla swéj znękanéj duszy, i z tego to źródła pochodzą owe częste samobójstwa i tyle innych zbrodni i obłąkań.

Drugiém i ważniejszém pytaniem jest, w jaki sposób matki zakorzeniać mają w sercach swych dziatek te święte uczucia religijne?

Gdy dziecię pojmować zacznie to, co się dzieje około niego, wtenczas już powinna rozsądna matka opowiadać mu, że wszystko, co go otacza, jest dziełem dobrego Ojca w niebiesiech, który stworzył świat cały, utrzymuje go i rządzi; że tak jak na ziemi rodzice opiekują się niém, karmią go, i różne sprawiają mu uciechy; tak ten Ojciec niebieski opiekuje się nietylko niém, ale nawet każdym choćby najlichszym robaczkiem. Potém gdy dziecię wyraźnie mówić już zdoła, powinna matka, z postawą pełną czci i uszanowania, zaczynać z dziecięciem modlić się do tego Ojca w niebiesiech, który wszystko widzi i słyszy, i jest na każdém miejscu.

Lecz niestety, jakże często widzimy, że dziecię sześcio- lub siedmio-letnie mówi szybko i biegle pacierz, niemając najmniejszego wyobrażenia co znaczą słowa,

których je na pamięć nauczono. — Dziecię w tym wieku pojmie już bardzo dobrze, gdy mu matka jasno wyłoży siedm próśb, które modlitwa pańska zawiera. I słuchać będzie z zajęciem opowiadania, co znaczy pozdrowienie anielskie.

W ten także sposób można z dziecięciem w tym wieku przechodzić pierwszy katechizm, ucząc go razem i historyi świętéj; to jest krótkie mu tylko z niéj opowiadać ustępy, a przez pytania i odpowiedzi umacniać w jego pamięci to, co mu się powiedziało; nigdy zaś nie uczyć go nic w tych przedmiotach mechanicznie, to jest na pamięć.

Rozsądna matka powinna dziecku uczynić tę naukę tak zajmującą i miłą, by samo się do niéj garnęło. A jakże to łatwą jest rzeczą, jak bardzo przemawiają do serca dziecięcia opowiadane w prostocie i do jego pojęcia zastósowane opowiadania pierwszych faktów historyi świętéj, i jakże wiele moralnych i wzniosłych uczuć można przytém w sercu jego rozbudzić!

Lecz niestety, jakże inaczéj dzieje się zwykle! jak wielkie w tym względzie popełniają się błędy! Po większéj części matki zajęte wyłącznie zarządem domowym, gospodarstwem, często niestety i życiem na wielkim świecie, sprowadzają do domów swoich kobiety z zagranicy, których usposobienie i wykształcenie moralne zupełnie im jest nieznane, i które nierzadko nawet innéj są wiary, i tym powierzają wychowanie swych córek. Jakże podobno spodziewać się dobrych owoców z takiego postępowania. Jak podobno wymagać, by cudzoziemka, nie znająca własności charakteru naszego, często nawet uprzedzona rozmaitemi przesądami przeciwko całemu narodowi, mogła jakiśkolwiek zbawienny wpływ wywrzeć na powierzone jéj istoty?

Wprawdzie już ten obłąd wieku ustaje u nas coraz bardziéj, już matki Polki zdają się poznawać coraz jaśniéj wielkie powołanie swoje; już coraz to mniéj widać takich domów, które szukają chluby w tém, iż ich dzieci wychowywane są przez niewiasty sprowadzane z zagranicy; lecz niestety jeszcze nie ze wszystkiem wykorzeniony jest ten zgubny zwyczaj, i Bóg wie długo potrwa jeszcze i ile złego sprowadzi na nasz już tylu plagami uciśniony naród.

Lubo już w wielu domach uznaną i uczczoną jest ta prawda, iż najlepszą nauką i bodźcem do wszystkiego dobrego, jest przykład rodzicielski, iż chcąc wychować swe dziatki na prawych i słusznych obywateli, trzeba samemu dobrym przykładem prowadzić je do cnoty, jednakże wiele jeszcze i bardzo smutnych błędów popełnianych jest w téj mierze. Chcąc naprzykład wpajać w dzieci miłość chrześcijańską, powinni rozsądni rodzice wystrzegać się jaknajstaranniéj mówienia z pogardą i lekceważeniem o bliźnich, nie obchodzić się dumnie z niższemi, nie potępiać winnego, nie posądzać nikogo; wspomagać bliźnich, jeżeli niczém więcéj, to radą i pociechą w niedoli, poświęcać czas i majątek dla słusznéj sprawy jego. Ale niestety, jakże często widzimy, że ojcowie rodzin, którzy uchodzą za religijnych, uczęszczają do kościołów, modlą się przykładnie, mają ciągle w ustach ustępy z pisma świętego, a w swych szafach zbiory ksiąg teologicznych, nie wzdrygają się uciskać swych podwładnych, wydzierać własność cudzą i pogrążać w nędzy i niedoli i tak już smutnym losem znękanych bliźnich. O zaiste, taka powierzchowna religijność może tylko najgorsze wywrzeć wpływy na życie całych rodzin. Tam tylko, gdzie prawdziwa miłość chrześcijańska objawia się w słowie i czynie,

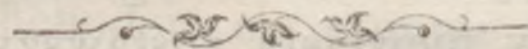
może się ona zakorzenić także w sercach dziecięcych i błogie wydać owoce.

Utrzymywanie w dziecięciu jak najstaranniejsze niewinności, prostoty i szczerości, jest także jednym z głównych warunków wykształcenia religijnego. Jakże więc bardzo błądzą te matki, które uczęszczając w świetne zgromadzenia wielkiego świata, wprowadzają tam w młodości swe dziatki. Szczególniéj szkodliwy wpływ wywierają te świetne zgromadzenia na dziewczynki. Tam to rodzi się w ich sercach chęć do stroju, błyszczenia, podobania się lekkość, zajęcie marnemi rzeczami, i owa nieszczęsna zalotność, która na całe życie zakorzenia się w ich duszach i staje się źródłem rozmaitych udręczeń dla nich i dla innych. Lecz jakaż zostaje alternatywa matkom, które się od tych uciech oderwać nie mogą? — Albo muszą zabierać ze sobą swe córki, lub téż zostawiać je pod dozorem najemnych osób, które znów w inny sposób wywierają na nie swe zgubne wpływy. Najlepiéj zaiste, gdy niewiasta zostawszy matką, oddali się sama od tych zwodniczych uciech, które mamią tylko swym błyskotliwym pozorem, a w gruncie są tylko czczą i szkodliwą utratą czasu; gdy w zaciszu domowém zajmie się wychowaniem, a przedewszystkiem wychowaniem religijném swych dziatek. Błachą jest to wymówką i nieprawdziwemi słowa tych niewiast, które mówią, iż nie mają czasu zatrudnić się wychowaniem swych dziatek. Bo jakież to zatrudnienie mogłoby odbierać im czas do tego szczytnego i ważnego zajęcia? Tak zaiste, każde inne zatrudnienie da się przez kogo innego zastąpić, lecz tego właśnie żadna matka, poznająca swe powołanie, nikomu innemu powierzyć nie powinna. Jeżeli nie posiada dosyć nauk, by swe córki w rozmaitych potrzebnych

wiadomościach wykształcić mogła, niechaj sobie przybierze osoby uczeńsze od siebie, lecz w rozwijaniu w sercach swych córek wszystkich wzniosłych i szlachetnych uczuć, w zbudzaniu w nich zalet i cnót niewiasty chrześcijańskiéj, jedném słowem, w wychowaniu religijném, nikomu dać się zastąpić nie powinna.

Tak więc, o matki chrześcijańskie, jeżeli chcecie dziatkom waszym zapewnić jedyne i niewzruszone szczęście na drodze ich życia; jeżeli chcecie te istoty, które Bóg pieczy waszéj powierzył, uczynić zdolnemi do wielkich poświęceń, które ich może w dalszych zawodach życia czekają: jedyną, silną i pewną drogą do tego jest, prowadzenie ich do Boga od pierwszych chwil ich istnienia i oświecania ich gruntownego w wszystkich nieomylnych i wzniosłych prawdach religii naszéj.

E. P.



Dwa obrazki z życia ludzkiego.

I.

W pewnéj wiosce księstwa Poznańskiego, niedaleko małéj rzeczki Obry, ukazuje się dwór porządny, świeżo pobielony, otoczony gęstym parkiem z rozmaitych drzew i krzewin. Brama murowana i czysto umieciony bruk przed domem, świadczą o staranności i porządku gospodarzy. Wszedłszy wewnątrz tego pomieszkania, znajdziemy tam wszystko urządzone wytwornie, lubo z prostotą i smakiem. Z dużéj sieni, w drzewa malowanéj, wchodzi się do małego

przedpokoju, w którym duże zwierciadło i kilka krzeseł jedyne sprzęty stanowią; drzwi otwarte tegoż ukazują salon umeblowany. Pod ścianą stoi piękny fortepian polisandrowy, na lewo biórko, a nad niém wiszą w pięknych ramach fotografie rodzinne i stoi mnóstwo owych zbytecznych drobnostek, służących jedynie do przypatrywania się znudzonym czasem gościom. W rogach stoją wygodne sofy, pokryte fioletowym aksamitem; na środku zaś duży stół okrągły, a na nim rozmaite najnowsze dzieła i żurnale w trzech językach; wszystko w najkosztowniejszych wydaniach.

W chwili początku naszéj powiastki siedziała przy oknie młoda dziewczyna, trzymając haft w ręku, lecz igła była bezczynna, bo ręka, która ją zwykle prowadziła, wspierała czoło zadumane. O czémże tak myśli dziewczyna i rzuca niekiedy tęskne spojrzenia na drogę prowadzącą od lasu?

„Nieprzybywa“, rzekła nakoniec z cicha, „a przecież obiecała mi się na trzecią z południa; piąta nadchodzi, a jéj nie masz.“ Znudzona długiém oczekiwaniem powstała, i przysunąwszy swe krzesło do stołu z książkami, wzięła z nich jednę i zaczęła czytać. Lecz nie, książki ją dziś niezajmują, bo myśli jéj błąkają się gdzieś daleko. „Parno w pokoju; znać, że burza nadejdzie“, rzekła po chwili rzucając książkę niedbale. Otworzyła okno, a potém usiadła do fortepianu, może, by swe zbłąkane myśli w brzmieniu harmonijném zatopić. Z początku niepewne jéj palce uderzały akkordy bez związku i myśli, lecz nakoniec marsz pogrzebowy Chopina zabrzmiał pod niemi, a w tych uroczystych harmonijach zdawała się dusza młodéj dziewczyny żegnać z wszelkiemi uczuciami światowemi i wspomnieniami szczęśliwéj przeszłości.

Zatopiona całkiem w cudnych tych melodyach, niesłyszała turkotu zajeżdżającego pojazdu, i dopiero wtenczas ocknęła się z swego zachwytu, gdy młoda i żywa dziewczyna schwyciła ją za rękę. „Ludwino, Bronisławo?“ były jedyne słowa, które młode przyjaciółki w radosném wzruszeniu wyrzec zdołały.

„Jakże mi długo dałaś czekać na siebie“, rzekła Bronisława; „lecz powiedz co robią twoi rodzice, rodzeństwo; czy wszyscy żyją i zdrowi? Od dwóch lat, cośmy się niewidziały, wiele zmian zajść w twojéj rodzinie musiało; znikąd się o was nic dowiedzieć nie mogłam, gdyż jedyna osoba, któraby mi była mogła coś donieść, odjechała daleko, cieszyć się pięknem Włoch niebem, a tą osobą ty jesteś kochana Ludwino!“

„Tak, Bronisławo“, odpowiedziała Ludwina, „byłam daleko, daleko od ciebie; lecz moje myśli błądziły zawsze po ojczystéj ziemi, a najczęściéj zatrzymywały się w tém lubém ustroniu, gdzie ty przebywasz. U nas wszyscy zdrowi; zmian zaszłych nie mogę ci zaraz opowiedzieć, lecz jeżeli ich nieprzeczuwasz, zadziwisz się, o, bardzo się zadziwisz — tak jak i ja się zdziwiłam...... Ale gdzież twoi rodzice?“

„Nie masz ich w domu“, odpowiedziała Bronisława, „wrócą dopiero jutro po południu. Będziemy więc miały dość czasu do opowiadania sobie wszystkiego, cośmy przez te dwa lata przeżyły. Ty szczególniéj Ludwino musisz mi obszernie powiedzieć o przygodach twéj podróży, o pięknościach okolic, coś zwiedziła.“

„O tak“, odpowiedziała Ludwina, „spełnione zostały me życzenia i moje najmilsze marzenia; widziałam cudny błękit włoskiego nieba, mogłam po-

dziwiać obrazy Rafaela, zwiedzać zwaliska dawnego Rzymu, korzyć się przed jego teraźniejszą wielkością, przechadzać się wśród gajów pomarańczowych, przy dźwięku mandoliny. Widziałam groźny Wezuwijusz, buchający płomieniem, wyrzucający popiół i lawę naokoło siebie; wszystko to piękne i wzniosłe, ale nad wszystko milsze mi ciche ustronie w ojczystéj ziemi.“

Zostawmy teraz obiedwie przyjaciółki, opowiadające sobie rozmaite zdarzenia, nie należące do naszego obrazka, a wróćmy się dopiero wtenczas, gdy w ich rozmowie ukażą się dwie osoby, które tu odmalowane być mają.

Pierwsze chwile po długiém niewidzeniu z osobami, sercu naszemu drogiemi, uchodzą nam zwykle bardzo prędko; zmrok już był zapadł, a obiedwie przyjaciółki, zmuszone dla ulewnego deszczu pozostać w obrębie domu, przechadzały się zwolna po pokoju.

„Wiesz co, Ludwiniu“, odezwała się nakoniec nieśmiało Bronisława, „opowiadałaś mi tyle o całéj twojéj rodzinie, dla czegoż nie wspomniałaś nic o twoim najstarszym bracie, uchodzącym dawniéj w naszych rozmowach pod nazwiskiem Fra?“

„O Kazimierzu!“ zawołała Ludwina. „Ach! bo Kazimierz już nie jest dla tego świata!“

„I cóż się z nim stało?“ przerwała Bronisława; a śmiertelna bladość i potém żywy rumieniec okrył jéj lica.

„Słuchaj, a dowiesz się wszystkiego;“ rzekła Ludwina. „Znasz jego charakter, żywą wyobraźnię i fantastyczne myśli; wiedziałaś o jego skłonności ku osobie, która nie mogąc się wzajemnością odpłacić, przyjaźń mu tylko swoję ofiarowała. Lecz przyjaźń

cóż to jest w odwet żywszego uczucia, szczególniéj u niego? — Ukończywszy świetnie zawód szkólny, miał zamiar udać się na wszechnicę i tą myślą zajętego opuściłam, towarzysząc pani S... w jéj podróży do Włoch i Francyi. Jak ci wiadomo przedłużyła się ta podróż nadspodziewanie. Z początku dochodziły mnie regularnie listy z domu, ale późniéj zwiedzając kraj cały i nie mając stałego pomieszkania, wiadomości od rodziców spodziewać się nie mogłam, lubom zawsze do nich pisywała. Po upływie dwóch lat zdołałam nakoniec skłonić panią S... do powrotu. Podróż nie zdawała mi się już tak przyjemną, jak jadąc tam dotąd, bo tęsknota za domem rodzicielskim coraz mnie bardziéj dręczyła. Lotem ptaka chciałabym była przebyć tę przestrzeń, dzielącą mnie od ukochanych osób!

„Już znajdowałam się na polskiéj ziemi, a serce moje przeczuwało coś niezwykłego. Był to gorący dzień lipcowy; piękne łany zboża dojrzewającego, którego kłosy schylały się pod ciężarem swego plonu, rozciągały się przed naszemi oczyma, a kwiaty polne smutnie zwieszały swe główki, zwarzone gorącemi promieńmi lipcowego słońca. Godzina południowa nadeszła — spokój panował w całéj naturze, przerywany tylko niekiedy odgłosem dzwonka jakiéj owieczki, chroniącéj się przed skwarem pod polną gruszę. Konie nasze, zmęczone dalekim i szybkim biegiem, potrzebowały wypoczynku; zajechałyśmy więc do pobliskiéj karczmy wśród lasu, zamyślając zostać tam przez kilka godzin, i dopiero nad wieczorem puścić się w dalszą podróż.

Posiliwszy się nieco, udałyśmy się z panią S... na przechadzkę w lesie. Chodziłyśmy długo i zapuściłyśmy się coraz daléj w gęstwinę. Pani S...

nie wszczęła żadnéj rozmowy, szłam za nią w milczeniu, nie śmiąc przerywać jéj dumania; sama téż byłam własnemi myślami zajętą. Długo tak błądziłyśmy po lesie, gdy nasze zamyślenie przerwanem zostało odgłosem dzwonów, który niezawodnie pochodził z pobliskiego klasztoru, w czém nas tą drogą przechodząca dziewczynka utwierdziła. Była to sobota i właśnie na nieszpory dzwoniono. Że nam jeszcze dość czasu zbywało, udałyśmy się także, wziąwszy za przewodniczkę dziewczynkę.

„Gdyśmy wyszły z lasu ukazał nam się zachwycający widok, przejmujący poszanowaniem i pobożności uczuciem. Klasztór starożytny, który zapewne nie jednę burzę czasu przetrwał, otoczony zieloną łąką, wśród niebotycznych drzew cieni, wznosił się przed naszemi oczyma, a jego wieże i wieżyczki odbijały się w nurtach czystego jeziora, które się u stóp jego wśród zielonych krzewin kołysało. Wspaniałe dźwięki organów zniewoliły nas do tém prędszego wejścia. Spojrzenia nasze padły najprzód na rząd zakonników Ś. Dominika przed ołtarzem stojących, śpiewali oni właśnie pieśni nieszporne. Nabożeństwo skończyło się po krótkim czasie, księża porozchodzili się; jeden tylko młody zakonnik, pozostawszy jeszcze na swojém miejscu, zwrócił się wkrótce do pobocznéj ławeczki, by się tam pomodlić jeszcze. Chciałyśmy także wychodzić, gdy nagle ciemno mi się w oczach zrobiło, nogi podemną zadrżały, zawołałam Kazimierz, i zemdlałam, bo w owym zakonniku poznałam mego brata! Co się daléj ze mną stało nie wiem, lecz przyszedłszy do siebie znalazłam się w skromnéj celi, leżąc na sofie, a przy mnie siedziała pani S . . . i Kazimierz. „Gdzież jestem?“ zapytałam. „U brata“, odpowiedział czule

Kazimierz. Obejrzałam się wokoło, znajdowałam się w skromnym, lecz gustownie urządzonym pokoju. Piękne malowidła z historyi Świętych, zdobiły białe ściany, w rogu stał fortepian, w drugim obszerna szafa z książkami; przez okna ocienione rozłożystemi gruszami przedzierały się słabo promienia zachodzącego słońca. Pierwsze moje zapytania były o rodziców i rodzeństwo, a gdy uspokajające odebrałam odpowiedzi, zapytałam o ciebie Bronisławo. Kazimierz odrzekł prędko: „Że żyje, wiem; o więcéj nie pytaj.“ A wskazawszy na bibliotekę, rzekł poważnie: „Tu czerpię moc do spełniania godnie obowiązków świętych, które przyjąłem na siebie, i światło w słowach, które te księgi zawierają; tam“ dodał, wskazując na instrument, „znajduję pociechę w chwilach, gdy ziemskie wspomnienia spokojność mą zamącić przychodzą. Gdy dusza moja na skrzydłach harmonii wznosi się ku niebu, przed tron Boga dobroci, który wszystkie nasze uczucia rozumie i sądzi łagodniéj niż ludzie, wtenczas znajduję błogość i szczęście, jakiego świat dać nie może. Wierz mi siostro“, mówił daléj swym miłym, przekonywającym głosem, „tylko religia zdoła uspokoić burzliwe namiętności człowieka, i wszelkie młodości marzenia na wznioślejsze zwrócić cele. Stan, który sobie obrałem, tak jest wzniosłym i pięknym, tak niezmierzone otwiera pole do służenia cierpiącéj ludzkości, iż chcąc zadosyć uczynić temu wielkiemu zadaniu, łatwo jest wszystkie marności ziemskie pogrzebać w pyle zapomnienia. Wierz mi siostro“, powtórzył, „ja się czuję więcéj, niż zwykle świat rozumie, szczęśliwym, w mém wzniosłém powołaniu.“

Te słowa mojego brata przejęły mnie jakiémś rzewném, lecz bolesném uczuciem. Znając go dobrze,

czułam, ile cierpieć, ile bolesnych walk przejść musiał, nim sobie to przekonanie wywalczył.

Widząc na stole leżący brewiarz i inne książki kapłańskie, nie mogłam wstrzymać się od smętnego uśmiechu, a biorąc go za rękę rzekłam:

„Brewiarz zajmuje więc teraz miejsce sławnych romansopisarzów nowoczesnych?“

„Tak“, odpowiedział Kazimierz z wesołym uśmiechem. „Ta zamiana ustaliła szczęście życia mojego. Kiedy niepewny, sam z sobą w niezgodzie, błądziłem po burzliwych falach życia tego, owe książki, o których wspomniałaś, były mi niby błędnemi ognikami, prowadzącemi mnie z jednego w drugie bezdroża. Z tego tu dopiero zajaśniało mi prawdziwe światło, które rozproszywszy wszelkie mgły namiętności, mój umysł zaciemniające, zaprowadziło mnie do szczęśliwéj przystani.“

Tutaj rozmowa nasza przerwaną została przybyciem Przełożonego klasztoru w towarzystwie pani S..., która widząc mnie zdrową zupełnie, nagliła do odjazdu. Pożegnałam się czule z ukochanym bratem, z boleścią w sercu, że tak śpiesznie znów go opuścić musiałam, i powróciłyśmy do gospody. Dalsza moja podróż i powrót do domu już ci wiadome. A teraz cóż ty mówisz na to, rzekła Ludwina z smutnym uśmiechem?

„Dziękuję Bogu, że tak się to wszystko skończyło“, odpowiedziała dziewczyna, ocierając skrycie łzy, które gwałtem się do jéj ócz cisnęły. „Dziwne i nieprzewidziane są wyroki boskie, powinniśmy się korzyć przed niemi.“ Na tém skończyła się rozmowa o Kazimierzu.

II.

Na chwilę nastało milczenie pomiędzy dwiema przyjaciółkami, jedna drugiéj nie śmiała go przerywać, bo cóż więcéj było mówić o tém? Ludwina nadto kochała swego brata, ażeby się dłużéj nad nim rozwodzić, i tak już przy końcu opowiadania łzy cisnęły jéj się do oczu. Bronisława, która jego przywiązaniem z woli rodziców wzgardzić musiała, przyzwyczajona więcéj myśleć niż mówić, długiém milczeniem tylko wspomnienie jego uczciła.

„Kochana Ludwino“, ozwała się nakoniec, chcąc na inny przedmiot zwrócić myśli przyjaciółki. „Możebyś chciała dowiedzieć się coś o Maryni, z którą nie jednę przyjemną spędziłyśmy chwilę?“

„O tak“, odrzekła szybko zagadniona, „powiedz mi o niéj; już dawno chciałam się o nię zapytać.“

Bronisława po krótkim namyśle tak opowiadać zaczęła:

„Jak ci wiadomo, Marynia chcąc ulżyć rodzicom, których nieszczęście ścigać nie przestało, umyśliła osieść w stolicy i dawać godziny muzyki, na których jéj, jako powszechnie wsławionéj artystce, zbywać nie mogło. Biedna Marynia, przykro jéj to okropnie było, lecz cóż nie uczyni dobre dziecko, by ulżyć rodzicom w przykréj doli? Razu pewnego, gdy właśnie o niéj myślałam, przynoszą mi list z poczty. Poznawszy pismo Maryni, rozerwałam szybko pieczątkę, i nie czytałam, lecz prawdziwie pochłaniałam każde słowo kreślone ręką drogiéj przyjaciółki. Donosiła mi w niém, że za kilka dni wyjeżdża z ojcem do stolicy, ażeby tamże pozostać na długo, i że dawszy się namówić kilku dobrze jéj życzącym osobom, zamyśla dać koncert, by się lepiéj Publi-

czności dać poznać. „Jéj list tchnął tak rzewném uczuciem, iż łatwo mogłam zrozumieć, jak wielkiém było to jéj poświęcenie; z jaką boleścią opuszczała rodzinne ustronie, jak żałowała cienistych drzew i grządek kwiatów (swego ogrodu), które chodować największą dla niéj było rozkoszą. „Przyjedź, jeżeli możesz", dodała na końcu listu, „wystąpię z większą odwagą, wiedząc, że na téj sali jedno serce szczere będzie dla mnie biło. O szczęśliwa Bronisławo, ty niepotrzebujesz rzucać się w ten odmęt światowy! Lecz mam nadzieję, że i mnie dozwoli Bóg kiedyś powrócić do mojéj lubéj rodzinnéj wioski."

Złożywszy list Maryni, zaczęłam czynić przygotowania do podróży i puściłam się nazajutrz do stolicy w towarzystwie panny Diek, guwernantki z sąsiedztwa, która właśnie zamierzała odwiedzić swą przyjaciółkę tam mieszkającą.

Przybyłam na dzień wprzódy nim Marynia do stolicy, lecz czas spędzony na oczekiwaniu jéj szybko mi przeszedł, bo sprawunki i różne odwiedziny znudzić mię się nie dały.

Zostawszy uwiadomioną o jéj przybyciu, udałam się niebawem do jéj pomieszkania. Biedaczka udawała wesołość w obecności swego ojca, lecz po oddaleniu się tegoż rzuciła się z płaczem w moje objęcia.

„O Bronisławo!" zawołała łkając, „czemuż ja jutro występować muszę! ludzie zupełnie inaczéj mnie sądzić będą; powiedzą zapewne, że to dla czczéj chluby chcę się dać słyszeć w koncercie, żem próżna i pochwał chciwa!"

O ile tylko mogłam starałam się ją uspokoić i długo rozmawiałyśmy w tym sposobie, nakoniec gdy się już ciemnieć zaczynało, wróciłam do hotelu. Dla

grzmotu i ulewnego deszczu, który trzaskał o szyby, całą noc oka zamknąć nie mogłam. Więc też wstawszy prawie razem ze słońcem, wyszłam, jak tylko drzwi hotelu otworzono, odwiedzić moją kochaną Marynię. Ranek był śliczny, po nocnéj burzy słońce pozłacało szczyty wysokich kamienic, a świeżość powietrza, rozlana dokoła, ożywiała znękany mój umysł. Lubo jeszcze siódméj nie było, nie zastałam jéj w domu, poszła była do pobliskiego kościoła, ażeby w tajemnicach religii siły i odwagi zaczerpnąć. Udałam się za nią, a wchodząc do świątyni Pańskiéj ujrzałam Marynię z anielskiém obliczem klęczącą przed ołtarzem. Niebyłby nikt uwierzył, iż to ta sama, która w wieczór w eleganckim stroju na sali bazarowéj występować miała. Czarna bareżowa sukienka i zarzucone popielate okrycie, kształtnie okrywało jéj kibić; skromny ryżowy kapelusik, przybrany liliową wstążką, pięknie odbijał przy jéj ciemnych włosach. Lecz dzisiaj nie jest ona już smutną, znać, że przyjęcie św. Sakramentu wzmocniło ją i uspokoiło jéj serce. Błoga spokojność rozlana na jéj twarzy, oko pobożnie zwrócone ku niebu, zatopiona w gorącéj modlitwie, zdaje się, iż jéj dusza w innych unosi się sferach. Wtém lekki uśmiech poruszył jéj usta, zadziwił on może nie jednego, lecz nie mnie! Czytałam ja w sercu Maryni jak w mojém własnem. Widziała ona w myśli rodziców uszczęśliwionych przez jéj poświęcenie, siostry i braci cieszących się dobrem mieniem, a ta radość odbiła się na jéj miłém obliczu.“ Powróciłyśmy razem z kościoła. Reszta dnia zeszła nam przyjemnie na przygotowaniach do wieczornego wystąpienia. Nakoniec godzina naznaczona wybiła, Publiczność zgromadziła się licznie na sali bazarowéj, jasném światłem oblanéj.

Marynia weszła wsparta na ramieniu ojca, a oddawszy ukłon pełen gracyi i wdzięku całemu zgromadzeniu, usiadła do fortepianu. Oczy wszystkich zwróciły się na nię i głębokie nastąpiło milczenie. Po pięknéj preludyi zaczęła najpierw smętnie, potém coraz to mocniéj i szybciéj wykonywać trudne passaże. Oddech wstrzymywał się w piersiach słuchaczy, z obawy, ażeby ani jedno uderzenie klawiszów nie uszło ich uwagi, bo téż Marynia grała biegle i pięknie; dla tego téż już dawno swą sztukę była ukończyła, zanim zgromadzenie ocknąwszy z zachwycenia, na oklaski zdobyć się zdołało. Lecz ona mało na nie zważała, bo jéj myśl ważniejszemi rzeczami zajętą była. Na liczne prośby Publiczności, dała się nakłonić do zagrania jeszcze jednéj sztuki z pamięci, a po téjże oddaliła się, obsypana oklaskami i pochwałami, które na dalszy jéj zawód wielki wpływ wywarły. Nie będę ci opowiadała, kochana Ludwino, o pobycie Maryni w stolicy. Domyślisz się łatwo, że po tak świetném wystąpieniu na godzinach jéj nie zbywało, wielu nawet osobom dla braku czasu odmówić musiała. Po dwuletniéj mozolnéj pracy wracała do rodziców w towarzystwie obudwóch braci, którzy na wakacye do domu zdążali.

Mała wioska rodziców Maryni, leży, jak wiesz, w pięknéj okolicy nad brzegami Obry; żyzne pola, łąki i gaje, otaczają ją do koła. Znaczny las, należący do niéj, zakończa krajobraz na zachodnim widokręgu. Wieczór się zbliżał, bydełko powracało z pastwiska, trzody owiec i stada gęsi posuwały się niemniéj ku domowi. Właściciele przypatrywali się z upodobaniem swemu dobytkowi, gdy wtém zajechał pojazd na dziedziniec, a dwóch dziarskich chłopczyków, z dobremi zaświadczeniami w ręku, wyskoczyło

z niego i wysadziwszy starszą siostrę, pobiegli przywitać się z rodzicami.

Radość z powrotu Maryni była nie do opisania. Po wieczerzy wyszli wszyscy do ogrodu, staraniem siostry Maryni w porządku utrzymywanego; przechadzano się długo, aż wreszcie znużona rodzina usiadła na ławeczce pod rozłożystą lipą. Księżyc swym blaskiem oświecał to szczęśliwe grono, cała przyroda zdawała się uśpioną, wietrzyk tylko miły i chłodny szeleścił wśród konarów odwiecznéj lipy, osutéj woniejącém kwiéciem.

„O córko!“ odezwał się ojciec Maryni, „widzisz to szczęście na mojém obliczu, ten uśmiech zadowolnienia na ustach matki, wesołość w całym domu naszym; patrz, to twojém jest dziełem. Ty twoją pracą okupiłaś nam spokojną starość, wyrwałaś nas z smutnego położenia, w którém tak niezasłużenie byliśmy pogrążeni. O na jakież błogosławieństwo zasługuje tak dobre dziecko, które swój talent poświęci na to, by nim wesprzeć rodzinę!“

Marynia nie powróciła już do stolicy. Przez te dwa lata zgromadziła sobie tak znaczną sumę, iż rodzice zdołali spłacić nią długi ciążące na ich wiosce. Żyje znowu szczęśliwa w gronie swéj rodziny, a przed kilku dniami dowiedziałam się, iż jest zaręczoną z Witoldem S....

„Nie dziwię się temu“, rzekła Ludwina, „że dwa tyle sobie podobne serca znaleść i złączyć się musiały.“

To mówiąc spojrzała na zegarek, który właśnie 11stą wskazywał, a strudzona podróżą prosiła Bronisławy, ażeby ją do przeznaczonego dla niéj odprowadziła pokoju.

Książe Konstanty w Jerozolimie.

Z opowiadania naocznego świadka.

O godzinie pierwszéj z południa ujrzeliśmy na zachodnim widokręgu maszty dwóch fregat, przybywających od Grecyi. Że ich ukazanie powitanem zostało przez wszystkie sztandary konsulów w Jaffie, dla tego niepodpadało żadnéj wątpliwości, iż one sprowadzały długo oczekiwanego gościa na brzegi ziemi świętéj.

Zaledwo obiedwie fregaty, do których dołączył się jeszcze okręt liniowy, zarzuciły kotwice, gdy na burzliwych wówczas wałach ukazał się statek konsulów z chorągwią admiralską. Byli to konsulowie z Jaffy, Jerozolimy i Syryi, którzy spieszyli na przywitanie znakomitych gości. Pomimo, iż czas był burzliwy i morze bardzo niespokojne, Wielki książe z małżonką i synem udali się niebawem na ląd. Gdy przybili do brzegu, gdzie pospólstwo tłumnie się zgromadziło, zostali powitani przez Arcybiskupa z Jaffy i tamecznego komendanta. Książe udał się najprzód z rodziną do kościoła greckiego, gdzie była solennie odśpiewaną pieśń: „Ciebie Boga chwalimy“, a potém dopiero do przeznaczonego mu na mieszkanie klasztoru greckiego.

Przybywszy przed kilku dniami z kilku przyjaciółmi do ziemi świętéj, po odbytéj kwarantannie, udaliśmy się nazajutrz po wylądowaniu Księcia zwiedzić okolice Jaffy. — Wśród nieskończenie długich, żywych płotów z drzew figowych i kaktusów, z pomiędzy których wyzierały gdzie niegdzie drzewa granatów z swém śliczném karmazynowém kwiéciem i okryte złocistym owocem drzewa pomarańczowe

i cytrynowe, przybyliśmy na onę sławną dolinę Saron. Róże i lilije okwitły tu już wprawdzie były, ale łany urodzajne i łąki świeżą ubarwione zielonością, zdobiły piękne krajobrazy. Prawie wszystkie wioski, któreśmy w drodze spotkali, były ocienione figowemi i oliwnemi drzewami.

Około południa spostrzegliśmy w oddaleniu wierzchołek starożytnéj wieży Ramleh. Wkrótce ukazały się wśród zielonych gajów wysmukłe wieżyce meczetów tego miasta, w którém pobożni pielgrzymi do ziemi świętéj rozpoznawają dawne Arimatea, rodzinne miejsce pobożnego Józefa, co w swym rodzinnym grobie, wykutym w skale, umieścił Zbawiciela świata umarłego na krzyżu. Przybywszy do miasta, zatrzymaliśmy się u fórty klasztoru Śgo Nikodema.

Przyjęci uprzejmie od Ojców tamecznych, po kilkogodzinnym wypoczynku w dalszą udaliśmy się drogę. Zaledwie oddaliliśmy się o pół mili drogi od miasta, gdy ujrzeliśmy w niejakiém oddaleniu przed nami karawanę Wielkiego księcia. O siódméj z rana wyjechano z Jaffy, przez godziny południowe zatrzymano się w Ramleh, a teraz zdążano ku Jerozolimie. Karawana ta nader świetny przedstawiała widok. Naprzód jechał Arcybiskup z Petra w duchownem ubraniu, Kajmakan z Jaffy i kommendant tamtejszéj załogi, otoczony oddziałem wojska, w błyszczących mundurach i zbrojach. — Wielki książe jechał na arabskim siwku, którego dostał był w podarunku od Wielkorządzcy. Wielka księżna, jakoż i jéj przyboczne damy, niesione były w lektykach. Kilkunastu ludzi z wojska admiralskiego służyło jéj za honorową eskortę. Dziesięcioletni syn Wielkiego księcia jechał konno na siodle zrobionem nakształt krzesła.

W ogóle składał się ten orszak książęcy z przeszło 100 ludzi. Większa ich część miała na sobie jasne latowe ubiory i czapki marynarskie, nawet i sam Książe, a jego jasny burnus bielił się zdaleka.

Ta świetna karawana, przebywająca w porządnych liniach te kwieciste płaszczyzny, sprawiała nader okazały widok. Coś podobnego nie zjawiło się zapewne w téj okolicy od czasu wojen krzyżowych. Wspomnienie owych wielkich czasów, owego szczytnego zapału chrześcijańskiego, owładło jakiémś rzewném uczuciem mą duszę. Ileż zmian zaszło odtąd na ziemi, ile milionów ludzi poległo za swoje idee i mniemania, ileż pokoleń przemknęło się po powierzchni ziemi od tych czasów! Jedno tylko zostało niewzruszonem, a tem jednem jest wiara w nauki Chrystusa, tego Boga-człowieka, na którego rodzinnéj ziemi znajdowałem się w téj chwili.

Po trzygodzinnéj podróży przybyliśmy do dwóch zajmujących nader miejsc, z których jedno tuż przy drodze, drugie o kilka wiorst od niéj jest odległém. Na wspaniałéj górze ukazały nam się ruiny Latrun, w których zakonnicy średniowieczni mniemali odkryć miejsce rodzinne rozgrzeszonego na krzyżu rozbójnika, lecz z większém prawdopodobieństwem przypominają one czasy machabejskie, a najbardziéj pobyt Gottfryda de Bouillon w Palestynie. Nierównie większe i bardziéj zajmujące wrażenie sprawiają te drugie ruiny, w których pobożny wędrowiec odkrywa szczątki miasta Emaus, gdzie zaszło owe cudowne spotkanie się Zbawiciela po zmartwychwstaniu z jego dwoma uczniami.

Że dostaliśmy się już w góry Judei, o tém świadczyła jasno droga, która się coraz to przykrzejszą i nierówniejszą stawała. Przy nadchodzącéj nocy przy-

byliśmy na ścieszki tak kamieniste, porosłe cierniem i rozmaitemi kłującemi roślinami, iż nam się zdawało niepodobieństwem, aby to była ta droga, którą corocznie przebiegają tysiące pobożnych wędrowców. Bieg nasz wstrzymywany był ustawicznie to korzeniami drzew i zaroślami, to znów przez odłamy skał i kamieńmi pokrywającemi drogę, która w wielu miejscach porozdzieraną była przez bystre strumyki z gór spadające.

Pierwsza kwadra księżyca ukazała się wkrótce na niebie, lecz blade jéj światło przyćmione zostało mnóstwem pochodni orszaku książęcego, a ich blask jaskrawy dodawał malowniczego uroku téj cudnéj okolicy. — Wielka księżna wyjeżdżając z Ramleh, dosiadła była rączego tureckiego konia, późniéj dopiero przeniosła się była do lektyki, teraz znów wróciła na konia i jechała pomiędzy synem i mężem, który zdawał się podziwiać jéj odwagę na téj niebezpiecznéj przeprawie.

Dopiero po dziewiątéj wieczorem przybyliśmy do celu naszéj podróży. Wśród dzikiéj, lasem i kamieńmi pokrytéj okolicy górzystéj, ukazała nam się mała dolina, a na niéj kilka nędznych chat, składających miasteczko, które nosi ową sławną nazwę Saris. — Tutaj rozbito mnóstwo większych i mniejszych namiotów, które miały służyć za nocleg dla karawany książęcéj. Tuż obok nas rozłożyły się muły i wielbłądy obładowane bagażami. Potém zajęto się przyborami do wieczerzy dla całego zgromadzenia, które pewno więcéj wypoczynku niż jadła po téj uciążliwéj podróży potrzebowało.

Zaledwie Wielki książe wstąpił był do swego namiotu, gdy mu oznajmiono przybycie Mustafy Abu Ghosch, którego imię przed niedawnemi jeszcze czasy

było postrachem wszystkich wędrowców do ziemi świętéj. Lecz dzisiaj przybył w świetném ubraniu, by złożyć hołd swój Książęciu.

O szóstéj zrana puściła się w dalszą podróż karawana książęca, i my pospieszyliśmy za nią. Lubo teraz coraz to piękniejsze krajobrazy otwierały się przed naszemi oczyma, jednakże charakter ich odpowiadał zupełnie wczorajszym naszym wrażeniom.

Zaledwie ujechaliśmy kawałek drogi, gdy Mustafa Abu Ghosch przybył znowu do Księcia, zapraszając go do swego zamku, który tylko kawałek był z drogi. Jest on teraz Naczelnikiem Beduinów w Palestynie. Jego dziad i ojciec odznaczyli się jako najgorsi prześladowce chrześcijan zwiedzających ziemię świętą. Mustafa, człowiek wspaniałéj postaci, pięknych lecz surowych rysów twarzy, postępował długo w ich ślady. Dopiero po swym powrocie z wygnania i niewoli w roku 1851, zamienił swoje zbójeckie rzemiosło na życie spokojne i miecz swój na lemiesz. O tém przekonaliśmy się naocznie, przechodząc przez jego posiadłości, które są w kwitnącym stanie. Wielki książe i jego małżonka niewzgardzili jego zaproszeniem i odwiedzili na chwilę Naczelnika Beduinów, który, podług zwyczaju wschodnich salonów, częstował ich kawą, fajką i konfiturami.

Z jego kastelu, stojącego na szczycie wysokiéj góry, prowadzi droga w rozległą dolinę, a z téj znów daléj w góry, po których strome, kamieniste krążą ściezki. Nimeśmy w dalszą udali się podróż, uwiadomiono mnie, że Wielki książe dowiedziawszy się o tém, iż się przyłączyłem do jego karawany, życzy sobie pomówić ze mną. Nie było to dla mnie tak łatwą rzeczą dostać się do niego, ponieważ znajdowałem się na samym ostatku na mojéj beduińskiéj,

źle osiodłanéj szkapie, kiedy Wielki książe na swoim pysznym Arabczyku jechał na samym przodzie. Jednak udało mi się zmusić mojego konia do pośpiechu i w Kalonich doścignąłem Księcia.

Kalonich jest to mała wioska, leżąca u stóp gór, w wdzięcznéj dolinie, przez którą płynie ten sam strumyk, z którego podług podania pisma świętego Dawid zbierał kamyki, by niemi Goliata ugodzić. Tutaj na zielonéj murawie, w cieniu drzew rozłożystych, osutych kwiéciem woniącém, siedział Wielki książe, gdy przybyłem do niego. Przyjął mnie bardzo łaskawie i rozmaite czynił zapytania. Wielka księżna przyłączyła się także do nas.

Po kilkogodzinnym wypoczynku udaliśmy się w dalszą drogę. Po niedługim czasie przybył na nasze spotkanie grecki Patryarcha jerozolimski, czcigodny starzec z długą siwą brodą i Wielkorządzca prowincyi Surneya Basza. Wielki książe zsiadł z konia, a Patryarcha powitawszy go i jego małżonkę, rzekł uroczystym głosem: „Błogosławiony, kto przychodzi w imię Pana.“ — „Oby te słowa utkwiły głęboko w sercu Książęcia“, pomyślałem jakiémś proroczém przeczuciem.

Nakoniec zbliżyliśmy się do szarych murów świętego miasta. Ujrzeliśmy szczyty Oliwnéj góry, a na zachodzie, na jasnym niebios błękicie, ciemne zarysy gór moabickich. Kto niezaznał nigdy świętego uczucia, którém przejmują obrządki naszéj religii, ten pojąć tego nie zdoła, jakie wrażenie sprawił na mnie ten widok. Wstępowałem dawniéj do świątyni Ś. Piotra w Rzymie, widziałem owe słynne w całém katolickiém chrześcijaństwie uroczystości, kiedy Ojciec święty, unoszony nad szczytami Watykanu, zsyła z góry swe błogosławieństwo na lud korzący się w pyle, ale

te wszystkie uroczyste wrażenia niczém są w porównaniu do tego, jaki na mnie zrobił widok tych szarych murów prawie w zwaliskach, tych miejsc przesiąkłych świętością, w których Bóg i Zbawiciel nasz jako człowiek żył, nauczał i cierpiał. Przejęty drżeniem wstępowałem w te miejsca, które dzisiaj ożywione tłumami ludu, z rozmaitych stron świata zgromadzonych, brzmiało radosnemi okrzykami na przywitanie gościa zdaleka przybyłego.

Przed bramami miasta stały trzy namioty pysznie urządzone na przybycie gości. Gdy Wielki książe z małżonką, prowadząc syna za rękę, wszedł do namiotu, huk z dział i dźwięk muzyki rozległy się wokoło. Tutaj przedstawił mu Basza konsulów całéj niemal Europy i pierwszych dygnitarzy Jerozolimy. Z konsulami przybył i anglikański biskup Gobat. Żydzi wystawili także dla Wielkiego księcia namiot z kosztownych złotem przerabianych materyj, chcąc przyczynić się jakośkolwiek do téj wielkiéj uroczystości. Lecz najliczniejszą publicznością, przyjmującą go, byli pielgrzymi po większéj części rossyjscy. Widać było ich radość z powitania swych książąt w tych miejscach. Niewiasty rzucały kwiaty pod stopy Księżnéj. Gdyśmy wyszli z namiotów, otoczeni zostaliśmy tak gęstym tłumem ludu, żeśmy zaledwie zdołali iść daléj. Turbany wszelkich barw i kształtów, między niemi francuzkie kapelusze i polskie czapki, tworzyły jednę równą przestrzeń. Niewiasty w bieli, z zasłoniętemi twarzami, stały opodal na pagórkach, przypatrując się temu niezwykłemu widokowi.

Przybywszy do bramy Wielki książe z żoną i synem, zsiedli z koni, by, podług dawnego obyczaju, wstąpić pieszo do świętego miasta. Cała droga zasuta była kwiatami i polana woniącą wodą. Para

książęca tak była wzruszoną, iż łzy spływały po ich licach. Wszedłszy do bramy, powitani zostali przez Arcybiskupa z krzyżem w ręku i święconą wodą. Całe miasto, domy, dachy, i gdzie się tylko jaki zakątek znajdował, było zapełnione tłumem ludu, a na wszystkich twarzach jaśniała radość i współczucie.

Huk dział z wieży Dawidowéj zagrzmiał także na przybycie gości. Podług życzenia Wielkiego księcia udał się cały orszak prosto do grobu świętego, który jaśniał niezliczoném mnóstwem świateł wszelkiego rodzaju.

U wchodu stał grecki Patryarcha w ornacie, błyszczącym od złota i drogich kamieni, otoczony całém tameczném duchowieństwem. Czcigodny starzec powitał tu raz jeszcze członków rodziny cesarskiéj i wspomniał coś o wdzięczności, jaką kościół grecki winien ś. p. cesarzowi Mikołajowi. Po tém przywitaniu zaprowadził gości do najświętszego przybytku dla całego chrześcijaństwa, gdzie Zbawiciel świata złożony był w grobie, podczas kiedy w kościele brzmiała pieśń: „Ciebie Boże chwalimy."

Była to uroczystość, jakiéj od czasu wojen krzyżowych nie widziano na wschodzie. Książe dał się podobno słyszeć z tém późniéj, iż wolałby był w skromnym pielgrzymskim ubiorze zwiedzić te święte miejsca, niż w tém otoczeniu światowéj wielkości.

Obrotna Małgosia.

Powieść dla dzieci.

1.

Wśród gór karpackich, w pobliżu kopalni żelaza, leży mała wioska nazwiskiem Kamionka. Z jednéj

strony góry ją otaczają, pokryte jodłami i świerkami; z drugiéj rozciągają się zielone łąki i pola urodzajne; tuż około niéj płynie strumyk spadający z wysokiéj góry, który, gdy ulewne spadną deszcze, przemienia się w kilka godzin w bystry potok i często wielkie szkody wyrządza w okolicy. Jest to ciche i samotne ustronie, gdzie rzadko jaki wędrownik zawita; lecz gdy słońce swemi ciepłemi promieńmi zazieleni łąki i krzewy, jasny błękit nieba odbija się w czystych niby kryształ wodach strumyka, a w ciemnych borach jodłowych rozlegają się wesołe śpiewy słowików i krzyki kukułek i zofji; wtenczas jest ślicznie, gdyby w raju, w tych naszych kochanych polskich górach. W téj więc wiosce odznaczał się przed niedawnemi czasy mały domek, pokaźniéjszy i porządniejszy od drugich chat porozrzucanych w nieładzie na południowéj spadzistości góry. Ogródek z ładnemi kwiatkami, ocieniony pnącym się wysoko powojem i czerwono kwitnącym grochem, otaczał go dokoła, a pod oknami porządnéj izdebki były grządki z rezedą, lewkoniją i gwoździkami, które swą miłą wonią cały napełniały domek. Tam mieszkał poczciwy płóciennik Jakób z żoną i jedyną córką, szesnastoletnią Małgosią. Był on synem organisty, dla tego wiele mędrszy od innych ludzi w Kamionce, a żona jego, która za młodu sługiwała w wielkiém mieście, uchodziła za wzór u wszystkich tamecznych gospodyń. Lecz ubodzy byli niemniéj, jak i ich sąsiedzi, dla tego do pracy i prostoty przywykli. Kilka miesięcy w roku miał płóciennik Jakób dosyć zatrudnienia nad swoim warsztatem, lecz kiedy przędza, którą miał na płótno zamieniać, dopiero się na kołowrotkach tworzyła, wtenczas musiał z żoną i córką chodzić na robotę za dzienną zapłatę. W zimie zaś

robił kopystki, kwirlejki i różne zabawki dla dzieci, które potém roznosił na sprzedaż po przyległych miasteczkach.

Było to na początku Lipca, dzień był skwarny i chmurny, lecz wieczór nadszedł chłodny i miły. Małgosia, która cały dzień pracowała z ojcem na łące młynarza, odpoczywała teraz siedząc na progu swego domku. Rodzice udali się już byli na spoczynek, bo wszystko téż już w wiosce we śnie pogrążonem się zdawało. Było cicho, cichutko w całéj dolinie, tylko jednostajne klekotanie wodnego młyna rozlegało się w oddaleniu, lub czasem dał się słyszeć brzęk dzwonka, który pochodził z przyległych stajenek, gdy koza lub owca we śnie głową ruszyła.

Małgosi zmrużały się téż mimowolnie oczy, lecz niemogła się rozstać z tym pięknym wieczorem, bo taki był chłodny i orzeźwiający, niebo tak było piękne, a gwiazdki świeciły tak mile! „Tamta po nad borem jaśnieje najpiękniéj“, pomyślała Małgosia, „zaledwie zorza wieczorna zagasła po za młynem, gdy znowu ta jasna gwiazdka zastąpiła jéj miejsce. O wy miłe gwiazdki, jak to pięknie, że tak świecicie na niebie i wzbudzacie w ludziach myśli o Bogu i przyszłém życiu. Lecz piękniéj i jaśniéj nie błyszczycie zapewne nigdzie, jak w téj w mojéj dolinie, nad tym jodłowym borem, nad temi jaworami około wodnika.“

Małgosia słyszała często od matki, jak to pięknie jest w wieczór w wielkiém mieście, gdzie wspaniałe kamienice stoją obok siebie i podwójne rzędy oświeconych okien jasny blask wydają. Że za temi jasnemi oknami mieszkają bogaci ludzie, którzy się pięknie ubierają, wykwintne jedzą potrawy i nic nie robią, tylko się bawią i jeżdżą z wizytami, tak, że

na ulicach słychać późno w noc turkot ich pojazdów. Lecz rzadko kto z tych ludzi pomyśli o tém, że on téż jest dziecięciem bożém; nie przypatrują oni się gwiazdkom i nie tęsknią za Ojcem w niebiesiech i za niebieską ojczyzną. W rozkoszach światowych zatopiły się u nich wszelkie przeczucia innego życia w wieczności, które Bóg wlał w serce każdego człowieka. A jednakże tak samo bogate dziatki wesołéj stolicy, jak i biedne dzieci samotnéj wioszczyny, mają tylko jeden cel przed sobą, a ten jest tam wysoko po nad gwiazdami.“ Tak rozmyślając Małgosia, złożyła pobożnie ręce i zaczęła odmawiać swe wieczorne modlitwy. Domawiając ostatnich słów, zamknęła oczy i zasnęła na progu.

Wstajence odzywały się dzwonki, młyn klekotał jednostajnie, a Małgosia śniła o pięknem mieście z wesołą muzyką, o pięknych salonach i strojnych paniach, o których tak często słyszała od matki. Wtém przebudziła się, przetarła oczy i nie mało się zlękła, że usnęła na progu. Spoglądała znowu około siebie, gwiazdki świeciły już słabiéj, bo księżyc w pełni przyćmił je wszystkie swym wspaniałym blaskiem. Lecz wtém zatrzymały się jéj oczy na jednym nieznacznym punkcie.

„Czyżby to już mgła ranna miała spadać na ziemię?“ pomyślała; „nie, to dym“; podniosła się z przestrachem i ujrzała na dachu sąsiedniego domu iskry i płomienie. Nie wiedząc sama, co czyni, wpadła do domu wołając: „Ojcze, matko, dom sąsiada Marcina się pali!“ Potém pobiegła do palącego się domu. Tutaj mieszkała młoda żona górnika z dwoma małemi dziatkami; jéj mąż był w kopalniach. Łatwo jéj było dostać się do izby, bo drzwi były tylko na drewnianą zaporę zamknięte. Niewiasta siedziała na

łóżku, karmiąc niemowlę i przysłuchiwała się dziwnemu trzeszczeniu i tententowi nad sobą, gdy Małgosia wbiegła do izby, wołając: „Gore! gore!“ a pochwyciwszy na każdą rękę jedno z małych dziatek, wyniosła je na dwór. Teraz nadszedł majster Jakób z żoną; odgłos okropny: gore, rozległ się po całéj wioszczynie. Drzwi otwierały się z trzaskiem, ludzie biegali wynosząc swoje chudoby; coraz bardziéj wzmagał się gwar, powiększało zamięszanie. O ugaszeniu nie można było ani myśleć; ogień z niezmierną szybkością pochłonął cały dach szkudlany, pod którym znajdował się wielki zapas szyszek jodłowych, przysposobiony do opału na zimę, a te latały teraz niby ogniste kule w powietrzu. Dziwnie, jak gdyby ogień właśnie wiatr sprowadzał; z początku zaledwie lekki wietrzyk wieczorny poruszał drzewami, a teraz podniósł się gwałtownie, rozwiewając na wszystkie strony płomienie i ogniste szyszki.

„Majstrze Jakóbie, wasz dach się zajął!“ krzyknął jeden z sąsiadów. I w istocie dach tlił się i palące szyszki kulały się po nim. Jakób z żoną i sąsiadami pobiegli ratować, lecz w kilku minutach stał cały domek w płomieniach. Małgosia lotem błyskawicy wbiegła do komory na górę, wyrzuciła oknem do ogrodu wszystko, co się tam znajdowało z potrzebniejszych rzeczy. „Pasza dla owcy i kozy może się spalić“, pomyślała; „pan Bóg ma jeszcze dosyć pożywienia dla nich.“ Lecz idąc po schodach zabrała ze sobą mały stoliczek i krzesełko; „bez łóżka się obejdę; mogę spać na ziemi“, mówiła. Potém wyprzątniono wszystko z dolnéj izby, co przy tylu rękach do pomocy nie trudno było. Lecz ognia nie można było ugasić tak prędko, bo zbywało na

porządnych sprzętach do gaszenia, i dopiero, gdy cały domek do szczętu został spalony, płomienie zagasły same przez się.

2.

Północ minęła; w dolinie znów było cicho, gwiazdki jaśniały i młyn klekotał jak wprzódy. Małgosia siedziała z rodzicami na pagórku nad pogorzeliskiem. Czyż to wszystko snem tylko było? lecz nie, wokoło stały wszystkie ich sprzęty, a przed niemi szczątki ich domku. Ojciec pocieszał matkę i starał tym sposobem sam umacniać się w wierze. „Czy rozumiesz“, rzekł, „iż litościwy Bóg zostawi nas bez przytułku na zimę?“

„O nie“, odpowiedziała żona, „ale nie jeden ciężki kłopot czeka nas jeszcze, a takiego miłego domku już nigdy mieć nie będziemy.“

„Czemu nie matko?“ spytała Małgosia.

„Czy go myślisz odbudować znowu“, rzekła matka z bolesnym uśmiechem.

„To się rozumie“, odpowiedziała Małgosia. „Wszakże młynarz wystawił niedawno oborę z surowéj cegły, to my téż potrafimy. Przez miesiąc narobię więcéj cegieł niż do tego potrzeba.“

„Ty sama Małgosiu?“ zapytał ojciec.

„Tak ojcze, ja sama“, powtórzyła dziewczyna. „Gorące słońce lipcowe wysuszy je bardzo szybko.“

„Ale pomyśl tylko, że do wybudowania domu więcéj potrzeba niż samych cegieł“, rzekła matka z westchnieniem.

„Tak, trochę drzewa“, rzekła Małgosia, „ale to się téż znajdzie. Tą razą zrobimy okno na południe“, dodała wesoło po chwili namysłu; „zobaczysz matko, że twoje rwanie w głowie ustanie, gdy bę-

dziemy mieli cieplejszą izdebkę; to było bardzo przykro, że ani promyczek słońca nie zajrzał teraz do nas.“

„Toby było bardzo dobrze“, rzekł ojciec, „lecz jakżeż z moim warsztatem Małgosiu?“

Dziewczyna zadumała się na chwilę; takiego drogiego sprzętu nie łatwo było nabyć, to sama przyznać musiała. Lecz, czy on koniecznie potrzebny? nie, to przeszło jéj jak promyk światła przez głowę. „Ojcze“, rzekła, „wujaszek Leon dawno już powiedział, że jeżeli nie poprzestaniesz płóciennictwa, postradasz zdrowie, a może i życie. Może to właśnie na twoje dobro, że się spalił warsztat, nie trzeba się więc starać o inny. Ja jestem przekonaną“, mówiła daléj bardzo poważnie, „że dla ciebie najlepiéjby było, gdybyś miał wiejskie gospodarstwo. Gdybyśmy mieli krowę, mógłbyś Ojcze za jéj pomocą uprawiać kawałek roli około naszego domu, a ja nosiłabym na targ mleko i masło.“

„Ależ Małgosiu“, przerwała matka niecierpliwie, bo te plany córki zdawały jéj się zbyt urojone, teraz właśnie, kiedy siedzieli na gruzach swéj chaty. Ojciec zaś uśmiechnął się i rzekł: „Dobrze Małgosiu, jeżeli mi się postarasz o rolę i krowę, to będę zapewne orał bardzo pilnie.“

„Nad tém przemyśliwam już dawno“, odpowiedziała Małgosia. „Słyszałeś już ojcze o tém, że bogaty gwoździarz tam w dolinie pokłócił się z młynarzem i nie chce mu na dłużéj wydzierżawić roli, co graniczy z naszą łączką? Więc ten kawałek gruntu moglibyśmy nabyć w dzierżawę od gwoździarza; jest to dobra ziemia, można na niéj sadzić ćwikłę i perki, i siać jęczmień; dla krowy przynosiłabym paszę z boru. Perkami i jęczmiennemi plewami wychowałoby się téż kilka świń. Kilka takich

wielkich kochinchińskich kur nabędziemy także; ach, jak to pięknie, gdy one tak poważnie stąpają po podwórzu, i swym ochrapłym głosem witają każdy poranek.“

„A zapomniałaś to o gęsiach, Małgosiu?“ mówił ojciec z uśmiechem.

„O nie, ojcze“, odpowiedziała ona z żywością, „przecież z nich będziemy mieli piérze. Ale i cielątek musimy się téż dochować. A wszystko, co zbierzemy, poprzedamy w mieście; więc nam się w dwójnasób dzierżawa powróci.“

„Małgosiu“, rzekł teraz ojciec poważnie. „Twoje marzenia są wprawdzie bardzo piękne, ale wątpię, by Ojciec niebieski zezwolił na to, żeby się kiedy ziściły. W to powinniśmy jednakże wierzyć mocno, że Bóg wszechmocny będzie miał nas w swéj opiece; chociaż nam nie da gospodarstwa i chociaż nam odebrał resztę dóbr ziemskich, przyjmie nas tém pewniéj na swe ojcowskie łono. Tak żono, oddajmy mu wszystkie nasze troski i boleści“, dodał Jakób z wzruszeniem“; spojrzy tylko ku niebu, ile tam jasnych gwiazd świeci, a każda z nich jest nierównie większym i piękniejszym światem, niżeli nasza ziemia. Ten wszechmocny Pan, który niemi wszystkiemi rządzi i utrzymuje je w biegu, wie także o najlichszym robaczku, czołgającym się w pyle, i nie zapomni i o nas, którzy dziećmi jego jesteśmy.“

„Matko, pamiętasz o Jobie“, odezwała się Małgosia; „Bóg odebrał mu wszystko, co posiadał, a potém oddał mu tém więcéj.“

Ojciec przywtórzył skinieniem głowy.

„A pan Jezus powiedział“, mówiła Małgosia, „wszystko, o co będziecie prosić w imię moje, otrzymacie od mego Ojca w niebiesiech.“

„Tak“, odpowiedział ojciec, „lecz czy pan Jezus rozumiał także przez to dobra doczesne?“

„Wszystko, wszystko“, zawołała Małgosia z zapałem. „Bo on wiedział, że serce, które prosi w jego imieniu, będzie dobra niebieskie wyżéj ceniło niż ziemskie, i że się chętnie podda jego woli. Lecz czemuż nie prosić go téż o to, co nam tu do życia potrzebne?“

„Tak, tak Małgosiu, proś go gorąco“, dodał ojciec z westchnieniem.

„O!“ zawołała Małgosia, „mnie się zdaje, jakobym zawsze otrzymała, o com go tylko kiedy prosiła. To doprawdy cudownie, jak on nam wszystkiego dostarcza, nieprawdaż matuchno? Jak nam się to będzie dziwnie zdawało, gdy będziemy mieli daleko więcéj niżeśmy stracili. Lecz u Boga nie masz nic niemożebnego, bo on jest wielki i wszechmocny.“

„I miłosierny“, dodał ojciec. „Tak, rozkosz i szczęście, iż mamy takiego Ojca w niebiesiech, jest niezmierną, i powinna napełniać serca nasze wiarą, nadzieją i miłością. Dla tego powinniśmy przyjmować chętnie z rąk jego wszelkie strapienia i troski, bo on zsyłając je na nas, ma zawsze w tém swe najmędrsze widoki. A teraz starajmy się udać na spoczynek, byśmy na jutro mieli siłę do pracy, i oczekujmy cierpliwie, co Bóg daléj zesłać na nas raczy.“

To mówiąc stary Jakób, odkrył głowę, ukląkł i złożył ręce do modlitwy; żona i córka poszły za jego przykładem, a gorąca modlitwa wzniosła się z tych serc czystych, pełnych wiary i nadziei, przed tron Najwyższego.

3.

Cztery tygodnie upłynęły od owego wieczoru. Gorące słońce sierpniowe wysuszyło prędko cegły,

które Małgosia z niezmordowaną pracą narobiła. Ściany i szczyty nowego domu stały gotowe, a okienko w izdebce było ze strony od słońca. Nowy dach szkudlanny świecił się zdaleka. Drzewo potrzebne do budowli Rząd był darował pogorzelcom. Do domku majstra Jakóba nie zbywało już nic więcéj, tylko szyb do dwóch okien i gwoździ do przymocowania szkudeł na dachu. Co było z stolarskiéj roboty potrzebnem, to zrobili przyjaciele majstra Jakóba za darmo; wprawdzie nie bardzo wykwintnie, lecz on tego nie wymagał.

W gorący poranek sierpniowy opuściła Małgosia pewnego dnia wioszczynę, niosąc duży kosz drewnianych narzędzi na ramionach na sprzedaż do pobliskiego miasteczka. Ojciec upomniał ją kilka razy, by niebawiła w drodze i spieszno powracała do domu, bo taki skwarny poranek zapowiadał burzę, a te bardzo są gwałtowne w górzystych okolicach.

Małgosia szła najprzód ścieszką po nad strumykiem, potém musiała iść przez wysoką górę, u któréj stóp leżało miasteczko, cel jéj podróży. Miała tam sprzedać swe drewniane wyroby i kupić za to szkła. Gwoździ zaś spodziewała się dostać tymczasem na kredyt od bogatego gwoździarza, który mieszkał w dolinie pod górą. Za przyszły koszyk kwirlejków i zabawek chciała mu dopiero zapłacić. Wszedłszy na szczyt pagórka spojrzała około siebie i spostrzegła na niebie szarobiaławe chmury, które obwisły były gdyby mgła na najwyższych gór szczytach. Był to złowrogi znak nadchodzącéj burzy. Żwawo szła naprzód Małgosia, ciesząc się, że w dolinie wśród cienia wysmukłych rozłożystych grusz i jabłoni daleko było chłodniéj, niż u nich na górach. Po półgodzinnéj podróży doszła nakoniec do po-

dwórka gwoździarza. Było to porządne, nawet okazałe zabudowanie, bo gwoździarz przy swém donośném rzemiośle posiadał jeszcze wiele łąk i roli i bydła wszelkiego gatunku.

Małgosia usiadła z swym ciężarem na kamieniu przy wrotach i wszczęła rozmowę z starą matką gwoździarza, która dla swéj przyjemności prowadziła na przechadzkę stado ślicznych białych gąsiątek. Pochwaliwszy pana Boga, rzekła dziewczyna: „Jak ślicznie wychowały wam się gąsiątka i jak rosną sporo!"

Małgosia mogła sądzić o tém, bo przechodząc często tą drogą, widziała je jako małe, żółte stworzonka, co się dopiero z jajek wykulnęły, i wiedziała także, że poczciwéj staruszki niczém bardziéj nie można było ucieszyć, jak pochwałą daną jéj wychowańcom. Dzisiaj szczególniéj, chcąc ująć ją sobie, musiała zacząć rozmowę od pochwał gąsiątek.

„Tak, tak, wiele trzeba wyżyć kłopotu z niemi, nim się tak daleko odchowają", odpowiedziała staruszka, „ale zato nie mały téż z nich pożytek. W przeszły tydzień podskubałam je i miałam całą kłodę piérza i kwapu."

Wtém dał się słyszeć krzykliwy, chrapliwy głos młodéj gwoździarki, która idąc ku oborze wołała świekry, by powracała do domu.

Cała powierzchowność téj kobiety miała coś odrażającego; nizka, chuda, z małemi siwemi oczyma, orlim dużym nosem, z ustami, na których zawsze jakiś szyderczy igrał uśmiech, była ona żywym obrazem chciwości i skępstwa. Jaka jéj powierzchowność, takie téż było jéj obejście się z ludźmi, to jest: niemiłe, pyszne, opryskliwe. Chociaż mąż jéj i świekra byliby czasem co dla biednych dobrego

uczynili, ona odpędzała niemiłosiernie każdego proszącego od swego progu, i w życiu swojém jeszcze żadnéj przysługi nic uczyniła bliźniemu.

Małgosia nienawidziła ją też z całéj duszy, lecz dziś trzeba było być grzeczną dla niéj, bo przyszła z prośbą do jéj męża, a wiedziała dobrze, że ten bez pozwolenia żony nic uczynić nie śmiał. Wstała więc ujrzawszy nadchodzącą gospodynię, pochwaliła pana Boga i spytała czy majster jest w domu.

„A cóż to za interes do niego?“ spytała z kwaśną miną gwoździarka.

„Chciałabym kupić kilka kóp gwoździ“, rzekła Małgosia nieśmiało.

„I owszem, mamy ich podostatkiem“, odpowiedziała majstrowa, „ale za gotową zapłatę, bo wiesz przecież, że nie czekamy nikomu.“

Przebiegła majstrowa poznała zapewne po nieśmiałéj minie Małgosi, że pieniędzy nie miała.

„Prosiłabym tylko o parę dni cierpliwości“, rzekła dziewczyna; „na przyszły poniedziałek jest jarmark w miasteczku, spieniężemy tam nasze drewniane wyroby i zapłacimy uczciwie.“

„Nie, ani słowa o tém“, zawołała gwoździarka krzykliwym głosem. „Albo za gotówkę, albo nic, i basta....“

Gdy tych słów domawiała nadeszła mała trzyletnia Florka, jedyna córka gwoździarki, a powitawszy mile Małgosię, zaczęła ciekawie zazierać do stojącego obok niéj kosza.

„Oj masz tam znowu zapewne śliczne zabawki“, rzekła dziecina; „ach pokaż, pokaż, jaki to śliczny powozik z dwoma konikami; ach matko“, rzekła, spoglądając na gwoździarkę, „kup mi ten wózik.“

„Dziecinne stworzenie, co ci to po tém“, odpo-

wiedziała matka, „możesz się bawić w piasku. A zresztą na jarmarku dostanie się tych rzeczy dość taniéj.“

Małgosia widząc, że téj twardéj kobiety uprosić nie zdoła, wzięła swój koszyk na ramiona, pożegnała ją grzecznie i poszła w dalszą drogę. Było to w samo południe, upał był nieznośny, a w oddaleniu rozlegał się odgłos grzmotu. Małgosia przyspieszała kroku, by jaknajprędzéj dojść do miasteczka. Po drodze widziała pasące się piękne bydełko gwoździarki, kilka krów, cieląt i wołów. Daléj znów na polu leżało w snopach uwiązane zboże, to znów ślicznie się zieleniące obszary perek, ćwikły i tatarki. Małgosia westchnęła i pomyślała mimowolnie: „Mój Boże, czemu téż to te dobra ziemskie tak nierówno podzielone, i czemuż to serca bogaczy prawie zawsze takie twarde i nieużyte! Gdybym ja była taka bogata, jakbym się chętnie dzieliła wszystkiem z biednymi! a ci ludzie nie chcą ani kilku kóp gwoździ dać na kredyt.“

4.

Pogrążona w takich smutnych myślach doszła do miasteczka. Tu powiodło jéj się lepiéj, niż na drodze. Nie wyszło ani godziny, gdy już swe zabawki posprzedała, szkło zakupiła i powracała do domu. Ale niebo coraz to groźniejszą przybierało postać, i właśnie stanęła na wzgórzu prowadzącém ku dolinie, gdzie było mieszkanie gwoździarki, gdy znagła deszcz zaczął padać tak gwałtownie, iż Małgosi zdawało się, jakoby się chmura zarwała. Zmoczona do suchéj nitki, zbiegła jak mogła zdążyć najprędzéj z góry i ukryła się w chatce węglarskiéj, która stała w lesie, ocieniona wielką starą jodłą, właśnie

tam, gdzie strumyk spadał z góry. Ale jakież było jéj przerażenie, gdy ujrzała, iż z małego strumyka zrobiła się wielka mętna rzeka, która w szumiących falach płynęła po dolinie.

„Wielki Boże, cóż się tam dziać musi na dolinie z gospodarstwem gwoździarza“, pomyślała Małgosia. „Podwórze leży nad samą wodą; jeśli ludzie nie zdążą uciec, to potoną z pewnością. Jaka cudowna Opatrzność boska nademną, że zdołałam przejść strumyk przed ulewą. Teraz nie mogę już iść daléj i muszę w téj chacie przenocować.“ Wtém spostrzegła, że wielka jodła, pod którą stała, zaczęła się chwiać. Z przestrachem odskoczyła na bok i ujrzała, że woda wymełła wszystkę ziemię pod jodłą, która, chwiejąc się coraz bardziéj, upadła z trzaskiem. Szczęściem korzenie tak było mocno przyczepione w ziemię, iż woda nie mogła drzewa porwać ze sobą.

Ulewa ustawała zwolna, lecz niebo było jeszcze pochmurne, a wiatr szumiał wśród mokrych gałęzi. Małgosia zbliżyła się znowu do jodły i spostrzegła z podziwieniem, ile tu prąd wody przyniósł rzeczy, które się przy gałęziach zachaczyły. Mnóstwo desek, sprzętów kuchennych, węborek, ćwierci, a nawet i miotły pływały wokoło. Małgosia zabrała się żwawo do roboty, wyciągnęła wszystko na suche miejsce, i chciała powrócić do chaty węglarskiéj, gdy jéj uwaga zwróconą została na nowe przybywające rzeczy. Na pieniących się wałach płynęła poważnie, podnosząc uszy i ryj, ogromna maciora. Żwawo skoczyła Małgosia na pień jodły, uchwyciła świnię za przednie łapy i wyciągnęła na ląd. Długo leżało zwierzę krzęcząc na ziemi, bo jak się zdawało, ta przejażdżka na wodzie bardzo mu niemiłą była. Lecz wreszcie podniosła się, i zaczęła ryć.

Małgosia zapędziła ją do chaty i drzwi deskami mocno zaparła. Potém pobiegła znowu do jodły i patrzała ciekawie na przedmioty, które woda unosiła. Lecz cóż ujrzała teraz? Oto czerwono malowana szafa płynęła wprost ku niéj, a na wierzchu siedział kogut z trzema pięknemi kurami. Kukuryku! wołał pan z kurnika i patrzał z niemałém podziwieniem naokoło siebie. Prąd wody zapędził ich prosto do jodły, i Małgosia z niesłychaną uciechą przyjęła tych nowych gości. Z szafą kuchenną niemało się namęczyła, nim ją na ląd dostała.

W swym radosnym zapale biedna dziewczyna zapomniała nawet pomyśleć o tém, jakie nieszczęście spotkało ludzi, do których te rzeczy należały. Patrzała jeszcze za nową przybyłą kurzą rodziną, która zaczęła zwiedzać nieznaną sobie okolicę, gdy usłyszała ryk w oddaleniu. Acha, to zapewne jaka krowa w niebezpieczeństwie życia; jeżeli ją prąd wody niezapędzi ku mnie, utonie bez wątpienia. W téj chwili ukazało się biedne bydlę o kilkadziesiąt kroków od Małgosi, niesione pędem wody. Małgosia nie namyślając się długo, wskoczyła na jodłę, uchwyciła deskę i zagarnęła nią tak zręcznie przypływające zwierzę, iż drugą ręką mogła uchwycić je za rogi i wyciągnąć na ląd.

„Jaka śliczna krowa“, wołała Małgosia, nieposiadając się z radości; głaskała ją i oglądała ze wszystkich stron i podawała jéj naprędce narwanéj trawy; lecz zwierzę niechciało jeść z początku i smutnie tylko spoglądało na nię. Ale nie mogła długo zatrzymywać się nad nią, bo teraz ukazało się na falach znowu coś nowego. Był to wielki, ciężki miech jęczmienia, który bardzo niezręcznie tańczył po wodzie. Tego niepodobno jéj było na brzeg wy-

dostać; lecz właśnie gdy przemyśliwała nad tém, jakby tu sobie poradzić, zachaczył się pomiędzy gałęziami jodły. To było jéj bardzo przyjemnie, nachyliła się ku niemu, odwiązała, nasypała pełen fartuch jęczmienia i poczęstowała nim swych gości.

Gdy się tak przypatrywała uwijającym się około żéru kurom, których różnobarwne piórka lśniły się prześlicznie w promieniach zachodzącego słońca, pokazało się znowu coś nowego na wodzie. Był to nowy pojazd gwoździarki, a na nim siedziało paradnie całe stado gęsi, które znajdując podróż na zburzonym swym żywiole bardzo niewygodną, obrały sobie to miejsce. Małgosia zawołała je, jak słyszała, że je świekra gwoździarki zwykle zwoływała, a gęsi widząc leżące ziarnka jęczmienia na brzegu, pospieszyły na skrzydłach wypocząć na lądzie po swéj mimowolnéj podróży.

Właśnie chciała Małgosia zapędzić je do chaty, kiedy znów ujrzała coś przybywającego na wodzie. Lecz jakież było jéj przerażenie! Patrzy, nie wierzy swoim oczom, drży cała, i oddech zatrzymuje się w jéj piersiach. Na falach widzi unoszącą się różową sukienkę, którą tego ranka miała Floreczka, córka gwoździarki, na sobie. Jednym skokiem była Małgosia na pniu jodły, i właśnie przybyła wczas, bo woda przyniosła dziecię pomiędzy gałęzie, gdzieby się było mogło pokaleczyć niemało. Z niebezpieczeństwem własnego życia, schwyciła dziewczyna sukienkę dziecięcia i przyciągnęła je ku sobie. Wyniósłszy je na brzeg, poznała, że było blade, zimne i bez zmysłów, lecz serce i puls biły jak zwykle. Rozebrała je najprzód z przemokłych rzeczy, uwinęła je w swoją spódnicę, która już była przeschła na słońcu, i położyła na miękkim mchu obok chatki.

Szczęściem znalazła była już wprzódy w kuchennéj szafie flaszkę z wódką, zapałki, bochenek chleba i masło. Wlała więc kilka kropli wódki w usta dziecięcia i skropiła nią jéj skronie i rozcierała zziębłe członki. Po niedługim czasie mała Floreczka otworzyła oczki, a ujrzawszy Małgosię około siebie, rzekła z radosnym uśmiechem:

„Daj mi powozik z konikami.“

„Dam ci, dam, moje dziecię“, odpowiedziała dziewczyna, „ale wprzód musimy podziękować panu Bogu, że cię tak cudownie ocalił.“

„Ja nie wiem, co się to stało“, rzekło dziecię, „szłam do mamy na łąkę po nad strumykiem, kiedy nagle deszcz padać zaczął, pod memi nogami ziemia zginęła i woda mnie porwała. Ale daj mi co do jedzenia.“

Małgosia już teraz nie patrzała za płynącemi rzeczami, ale rozniecila ogień, wydoiła krowę, przegotowała mleko, i zmówiwszy modlitwę dziękczynną, pożywila godną dziewczynkę i siebie.

Tak nadszedł wieczór. Kury posiadły na gałęziach jodeł, gąski pokładły się obok siebie na ziemię, i pochowały czerwone dzioby pod białe skrzydełka. Świnia przestała krzęczeć, krówka żując odpoczywała pod drzewem. Floreczka zasypiała smaczno na miękkiém z mchu posłaniu. Małgosia tylko czuwała oparta o chatę i przypatrywała się znowu wschodzącym gwiazdkom i jasnym chmurkom, które w rozmaitych kształtach przesuwały się po niebios przestworze. O jakże ona miała dziś za co dziękować panu Bogu! Tylko myśl, jak jéj rodzice troszczyć się muszą o nię, niepokoila ją bardzo. Wtém usłyszała w oddaleniu głosy, wołanie i uderzenia

wiosłami. Radość przejęła jéj serce, bo tak saméj w lesie wśród nocy strach ją zdjął niemały.

5.

Gwoździarkę z mężem zaskoczyła burza na łące. Przerażenie jéj było niezmierne, gdy wróciwszy do domu zastała całe swe podwórze wodą zalane. Lecz któż rozpacz jéj opisać zdoła, kiedy świekra wyszła na jéj spotkanie, pytając, czy Florkę prowadzą ze sobą, bo ona poszła za niemi na łąkę.

Gwoździarka szalała prawie z rozpaczy, nieuważała nawet, że woda połowę jéj dobytku zabrała, wołała tylko i krzyczała za swą Florką.

Gdy woda zaczęła opadać, sprowadzono czolno; zebrało się kilku ludzi opatrzonych w haki, siecie i drągi, i z rozpaczającą matką na czele udali się szukać dziecięcia. Majster Jakób, w największym kłopocie o Małgosię, spotkał się z nimi na drodze i wsiadł w ich czołno.

Ściemniało się już było zupełnie, gdy przybyli do lasu, gwoździarka z załamanemi rękoma krzycząc i płacząc wysiadła z czołna i przechodziła się nad brzegami strumyka, niedaleko ztąd, gdzie stała chatka węglarska.

„Patrzcie tylko“, rzekł majster Jakób, „tam się coś świeci pomiędzy drzewami.“

„Doprawdy“, dodał gwoździarz, „tam muszą mieszkać ludzie.“

„Ale tam nie masz mojéj Florki“, wołała gwoździarka z rozpaczą.

„Tego nie można wiedzieć“, rzekł majster Jakób; „u Boga wszystko możebne.“

„Majstrze Jakóbie“, ozwała się gwoździarka, „je-

żeli Floreczkę znajdziecie, to wam dam ten kawał roli, co graniczy z waszą łąką.“

„Trzymam was za słowo“, odpowiedział Jakób z uśmiechem; lecz myślał sobie, że z tego nic nie będzie, bo dziecko utonęło bez wątpienia w strumyku.

Gdy tak szedł naprzód, przemknęła się obok niego jakaś postać w ciemności. „Małgosia!“ zawołał z niewymowną radością. Dziewczyna uściskała ojca za szyję, płacząc z radości. Rodzice Florki patrzeli z boleścią na to przywitanie, myśląc o swojéj Florce, i nie śmieli ani pytać Małgosi, czy jéj niewidziała utonionéj na falach strumyka.

Ale Małgosia rozpoznawszy w ciemności gwoździarkę, rzekła wesoło: „Patrzcie tylko pani majstrowa, wyłowiłam całe wasze gospodarstwo: krowę, świnię, kurę i gęsi.

Na to zawołała gwoździarka: „Wszystko, wszystko możesz sobie zatrzymać, byleś mi tylko Florkę wróciła.“

Małgosia wzięła ją za rękę i zaprowadziła pod drzewo, gdzie na miękkim mchu dziecię spoczywało spokojnie.

„Otóż patrzcie“, rzecze, „tu śpi wasza Florka; Bóg osobliwe okazał nad nią miłosierdzie. Mnie się udało wyciągnąć ją z wody, inaczéj byłyby ją niezawodnie fale pochłonęły. Gwoździarka nie posiadała się z radości, ściskała, całowała naprzemian Małgosię i swą kochaną córeczkę.

Ojciec Małgosi, pomny na owe przysłowie: „trzeba kuć żelazo póki ciepłe“, rzekł zbliżając się grzecznie do pani gwoździarki: „Waszą obietnicę gruntu i inwentarza przyjmujem chętnie, i dziękujem wam serdecznie.“

Gwoździarka, która była bardzo wrażliwego usposobienia, zawołała, rzucając się na szyję staremu maj-

strowi: „Naturalnie, wszystko to jest waszą odtąd własnością; kiedy tylko mam mą Florkę, o nic już więcéj nie stoję.“ I gwoździarz powtórzył to samo.

Potém udali się z dzieckiem ku domowi, stary zaś Jakób z córką pozostali przez noc w chacie węglarskiéj, boć przecież nie mogli pozostawić swoich nowonabytych skarbów w lesie bez dozoru.

6.

Nazajutrz śliczny poranek zawitał po wczorajszéj burzy. Jasne i pogodne niebo cudnie odbijało przy zielonych drzewach, słońce odbijało się w kroplach rosy, które błyszczały na kwiatkach i trawkach. Cały świat zdawał się radować z pięknego poranku. Gwoździarka tylko i jéj mąż stali przed domem i obliczali z boleścią straty, które im powódź przyniosła. Skąpa niewiasta, ochłonąwszy z pierwszego uniesienia, żałowała serdecznie swego pośpiechu w darowaniu tylu rzeczy wybawcom swéj córeczki, i wywierała swój zły humor na wszystko, co się jéj nawinęło, klnąc i lżąc bez litości.

Lecz cóż teraz oczy jéj ujrzeć musiały! Na porozrywanéj przez powódź drodze toczył się powoli paradny jéj pojazd, który był ciągniony przez jéj ulubioną burą krowę; na koźle siedział kogut z swemi trzema kurami i kurczątkami; z pojazdu wyciągały swe długie białe szyje panie gęsi i zdawały się same dziwić temu, co się z niemi dzieje. Świnia przywiązana na powrozku, szła krzęcząc obok pojazdu. Oprócz tego pełno było jeszcze innych rzeczy w pojeździe, szafa, węborki, ćwierci, deski, miotły; wszystko się tam pomieściło.

Gwoździarka gryzła usta i paznogcie ze złości i przeklinała w myśli sama siebie i Florkę, i wszystko razem.

„Te bezwstydne nicwarty pokradli mi to wszystko“, mruczała pod nosem.

„Przecieżeśmy im to darowali“, odezwał się mąż.

„W waszém wielkiém gospodarstwie to nie wielki uszczerbek“, pocieszała świekra.

„Ale co do roli, to ani myśli o tém“, zawołała gwoździarka.

Teraz ośmielił się mąż wystąpić surowo.

„Zamknij gębę, przeklęta skąpico!“ rzekł; „co się raz obieca, to trzeba dotrzymać. Bez tego kawałka roli nic ci się nie stanie.“

Stara matka uśmiechnęła się mile do syna; „mamy dosyć, mamy dosyć“, mówiła po cichu, „Bóg dopomoże nam i na dal.“

Teraz zatrzymał się pojazd przed domem. Majster Jakób zbliżył się do gwoździarzy i podziękował ślicznie raz jeszcze za wszystkie darowane rzeczy.

„Musiałem wszystko popakować do pojazdu“, rzekł, „bo nie mógłem zabrać inaczéj. Zostało tam tylko jeszcze trochę desek, te zabierzemy inny raz.“

„Będą one na chlewik“, dodała Małgosia.

„Co do pojazdu“, mówił daléj Jakób, „ten oddamy wam napowrót; Małgosia mówi, że on za paradny do Kamionki.“

Gwoździarz bardzo był rad z tego, gwoździarka pomyślała: „Ten pojazd kosztował 100 tal., i to dobrze, że mi się wróci. A co do gwoździ, po które tu wczoraj była Małgosia, te zapłacimy dzisiaj gotówką.“ Gwoździarz wszedł z nim do kramu. Gwoździarce biło serce ze strachu, by mąż jéj jeszcze i gwoździ nie wyrzucił w dodatku, lecz dzisiaj nie śmiała trącić go łokciem, jak to zwykle czyniła, gdy się lękała, by czego nie dał biednemu.

Małgosia stała przy pojeździe, rozmawiając z ba-

bunią. Gwoździarku uważała z radością, że dobre dziewczę chciało gęsi oddawać, ale dziwaczna stara robiła ceregiele i przyjąć ich niechciała. „Moje dziecko“, mówiła poczciwa staruszka, „chętnie wczoraj gęsi pozbyłam, byle się Florka znalazła.“ — „Więc weźcie przynajmniéj połowę,“ mówiła Małgosia, i zaczęła wysadzać na ziemię wychowanki babuni. Staruszka opierała się jeszcze, ale gwoździarka przyskoczyła, zawołała ha, la, la, la, i wegnała gęsi na podwórek; a gdy majster Jakób powrócił z gwoździami, już były zamknięte w chlewiku. Pożegnawszy się serdecznie, udano się w dalszą drogę i szczęśliwie przybyła Małgosia do domu ze swém całém gospodarstwem.

„Widzisz, kochana matko“, rzekła, wchodząc do izdebki, gdzie biedna płócienniczka, umierając prawie z kłopotu, oczekiwała powrotu męża. „Otóż dostałam wszystko, o com tylko prosiła naszego bogatego Ojca w niebiesiech.“

Był to śliczny wieczór jesienny, słońce rzucając ostatnie spojrzenia na dolinę, oświecało swym różannym blaskiem szczyty jodeł niebotycznych i odbijało się jasno w nowych szybach domku majstra Jakóba. Małgosia powystawiała była wszystkie zabawki, które jutro na targ nieść miała, by je na słońcu osuszyć, na zieloną murawę, i usiadła przed domem na ławeczce, przypatrując się zachodzącemu słońcu. Wszystko było cicho i spokojnie, jak w ów wieczór, kiedy się ich chatka spaliła. Młyn klekotał, jak wówczas, ale w obórce odzywał się dzwonek buréj krowy, gęsi gęgały w chlewiku, świnia krzęczała w kubelku.

„O, jakie to szczęście mieć takie gospodarstwo!“

pomyślała Małgosia. „Jakże to dobrze prosić Boga i o ziemskie dobra. Wie on dobrze, co nam dać lub nie dać, lecz prosić powinniśmy go o wszystko, bo on jest naszym ojcem, a my dziećmi Jego", i złożywszy ręce tak się modliła:

„Pod twoję opiekę udaję się wielki Boże i Ojcze mój w niebie. Choćby mnie wszystko na świecie opuścić miało, choćby ludzie, których kocham, zapomnieć o mnie mieli, choćby mnie niesprawiedliwość ich ścigała, Ty czuwasz jednakże nademną. Nie daj złym myślom splamić serca mego, nie daj złym czynnościom skazić mego życia. Ty Boże wszechmocny nie opuszczaj twego dziecięcia, i obdarzaj je zawsze tém, co mu jest potrzebnem w tém i przyszłém życiu."

Koniec.

Człowiek wielki.

Człowiek wielki, którego dzieje opowiedzieć zamyślam, nie jest ani sławnym, ani bogatym, i nie wyjdzie on nigdy z ubóstwa, w którém żył dotąd. Nie jest on uczony, lubo wié wiele; nie jest artystą, lubo posiada wiele talentów, bystrości i żywéj wyobraźni; nie jest, co świat nazywa mędrcem, lubo jest bardzo rozumnym i wzgardził już kilka razy znaczną fortuną. Cóż więcéj powiedzieć o nim? Żyje pod najsurowszą regułą. Czy jest księdzem lub żołnierzem? ani jedno, ani drugie. Pracuje przeszło czternaście godzin codziennie. Czy jest spekulantem, urzędnikiem, rzemieślnikiem? Wcale nie. Wszystko,

co czyni, czyni dla drugich, nie dla siebie. Czy jest ojcem rodziny? I to nie. Ma on wprawdzie rodzinę niezliczoną, ale ani żony, ani dzieci, ani brata, ani siostry, i nie znał wcale swoich rodziców. Któż on jest? zobaczmy. Lecz, aby dokończyć jego obrazu, potrzeba jeszcze dodać, że pomimo téj pracy i téj dyscypliny, która na nim ciąży, pomimo jego niedostatków, pomimo małego blasku jego wielkich zasług, pomimo długich niewygód, których nie stracił wspomnienia, ogołocony z wszystkich przyjemności, któremi wolność, miłość własna i węzły rodziny darzą człowieka, nasz bohatér nietylko jest wielkim, ale i szczęśliwym człowiekiem.

Ubodzy, którzy przychodzą powierzać mu swe troski, znajdują go zawsze spokojnym, uprzejmym, gotowym do pomocy i poświęcającym się im z ochotą. Nie daje on im złota, ani srebra, bo nie ma zwykle ani szeląga. Jednakże powracają zawsze od niego zadowolnieni, gdyż on posiada niezmierny skarb dobréj woli, poddania się Bogu i odwagi, a podobnie jak Piotr św. udziela drugim co posiada. Otóż jeszcze jeden rys tego człowieka, który jest wielkim w niskiém położeniu, który jest szczęśliwym w przykréj doli, a to dla tego, że rozdziela skarby nieoszacowane, i że uszczęśliwia wielu bez wydania szeląga.

Powie kto może, iż to jest tylko utwór wyobraźni, iż człowiek tak nadzwyczajny nie mógłby zostać nieznanym, iż duch tak wielki nie mógłby wytrwać w poniżeniu, iż ubóstwo tak zupełne nie mogłoby wspierać tyle nędzy. Ja odpowiadam, iż jestem pewien tego, o czém mówię, że nawet mój wielki człowiek nie jest jedynym na ziemi, że zawsze takowi istnieli, i że w naszych czasach jest ich wielu.

Cóż znaczą oklaski i sława? Zwracać na siebie

oczy tłumu, jestto często skutkiem zasługi, ale nie zawsze jéj przyczyną. Niektórzy ludzie dla swéj prostoty ducha są niby róże i ptaki, które kwitną i świegocą wszędzie. Piękne bzy w ogrodzie tuileryjskim z ich sztucznéni ogrodzeniem, nie zachwycają eleganckich osób, odwiedzających je codziennie, piękniejszémi kwiaty i wdzięczniejszą wonią, niż polna wiczka na cienistéj drodze, którą przechodzą biedni wyrobnicy i wieśniacy. Dusza wielka roztacza swe cnoty, jak kwiat piękny rozwodzi swe wonie. Choć się ją rzuci na puszczę, choć się ją zamknie w więzieniu, niemogąc być wielką w swych czynach, będzie większą w swych myślach. Ależ zacznijmy nakoniec naszą powiastkę.

Pewnéj nocy mieszkańcy miasteczka P...., w południowéj Francyi, zbudzeni zostali gwałtownie okropnym krzykiem i dźwiękiem dzwonów. Rzeczka, która płynie pod tém miastem, wezbrana obfitą ulewą, wystąpiła z swego koryta, a zalawszy przedmieście, obaliła już kilka domów. Łoskot burzy i ulewnego deszczu, powiększał jeszcze powszechne przerażenie. Ludzie z pochodniami w ręku przebiegali ulice, inni w słabych łódkach usiłowali walczyć przeciwko rozhukanemu żywiołowi. Szybkie i niepewne migotanie ich latarni dawały poznać pomimo ciemności niebezpieczeństwo, które im groziło. A gdy te światełka zniknęły, niewiasty stojące na brzegu pytały się z przerażeniem, czy one zagasły przez burzę, lub czy łódka zginęła wśród fali? Nakoniec brzask dnia okazał, iż obawa niebyła mniejszą od nieszczęścia. Rozhukane bałwany unosiły przed oczyma mieszkańców miasteczka, smutne dowody nieszczęścia ich sąsiadów, które im samym groziło. Sprzęty połamane, zwierzęta potopione, pływały na

wód powierzchni, lub zapierały się o mury, i jako posły żałoby zdawały się uderzać do drzwi wszystkich domów w imieniu śmierci. Jednakże po kilku godzinach przestrachu spokojność powróciła, woda zaczęła opadać, zostawiając nad brzegiem rzeki powłokę ślamu i smutne szczątki zniszczenia.

Pomiędzy témi szczątkami, znaleziono w przysionku kościoła najbliższego rzeki kołyskę, a w niéj śpiące dziecię. Tak było blade, iż je miano z początku za umarłe. Jednakże było ono tylko zziębłe i głodne, a z resztą nie miało żadnego uszkodzenia. Zaniesiono je do Plebana.

Poczciwy ten człowiek pomyślał, iż Bóg zesłał mu jednego nieszczęśliwego więcéj do żywienia. Ale, iż on sam był jednym z najuboższych swéj parafii, usiłował najprzód odkryć, do kogo należało właściwie to dziecię i znaleść mu opiekunów. Wkrótce dowiedział się, iż w wilią powodzi, człowiek i niewiasta z dziecięciem na ręku, w nędznéj odzieży, podobni do włóczęgów, zostali przyjęci z miłosierdzia do domu zajezdnego na przedmieściu, i że ich znaleziono nieżywych pod gruzami tegoż domu. Dziecię zaś, które gospodyni umieściła z litości w kołysce przy swoich dzieciach, wyratowaném zostało. W powszechném zamięszaniu i przestrachu zapomniała gospodyni, dokąd wyniosła kołyskę, a teraz pomimo szkód, jakie poniosła, dziękowała Bogu za cud widoczny, jakim ocalił życie biednéj sieroty.

„Widzę", rzekł Pleban, składając pobożnie ręce, „iż Bóg opiekuje się wyłącznie tém dzieckiem; zobaczymy, czy mu ześle możniejszych przyjaciół odemnie.

Chodził od domu do domu do wszystkich swych najlitościwszych i najbogatszych parafian, ofiarując im swego podrzutka. Nieszczęściem każdy miał swe

szkody do naprawiania, swych nieszczęśliwych do wspierania, i nikt niechciał przyjąć téj biednéj istoty. Radzono dobremu Plebanowi, by go oddał do domu podrzutków. „Tego nie zrobię“, rzekł; „wszystkie te odmowy wskazują, że Bóg przysłał go pod moim adresem. Małgorzato, cóż poczniemy z tém dzieckiem?“

„Będziemy go karmili papką, dopóki niedostanie ząbków, by mogło jeść chleb. Więcéj na teraz niepotrzebuje ono; lecz trzeba mu téż dać jakie nazwisko, bo nikt nie wie, kto byli jego rodzice.“

„Słusznie“, odpowiedział Pleban, „ochrzcę go natychmiast; a ponieważ wodą dostał się do przysionku Ś. Mikołaja, w oktawę Bożego Narodzenia, nazwiemy go Mikołajem Noel i wychowamy go Bogu na chwałę.“

„Zapewne“, odpowiedziała Małgorzata, „huśtając dziecię. Szczęśliwe to dziecko! jego rodzice niebyliby pewnie zrobili z niego nic wielkiego, a tak może zostać kiedyś biskupem.“

„Niech zostanie tylko uczciwym człowiekiem“, rzekł skromnie Pleban.

„Jedno drugiemu niezawadzi“, odpowiedziała Małgorzata.

Znać, że miała serce macierzyńskie, bo już tworzyła dumne zamiary dla swego dziecięcia przybranego. Mikołaj Noel nie miał wówczas roku i niechodził jeszcze.

Dziesięć lat potém Małgorzata nie żyła. Mikołaj Noel, dość już duży i silny, bo był pracowitym, a praca wzmacnia siły, rozgarniony i mędrszy, niż zwykle się jest w tym wieku, gdyż uczył się pilnie, zastępował miejsce dobréj niewiasty przy starym Plebanie, którego kochał, jak ojca, i takoż był kochanym od niego.

Dzięki naukom dobréj gościnny, która zdołała znowu odbudować dom, w którym niegdyś przyjęła rodziców i Mikołaja, a którą często odwiedzał, nabył tenże tyle wiadomości kucharskich, iż był w stanie sam przyrządzić skromne pożywienie Plebanowi. Prawdę mówiąc, nie było to nic trudnego. Jajecznica, jarzyna, ziemniaki, w dni postne; kawałek mięsa w inne, a na wielkie święto co z drobiu, często tylko kawałek suchego chleba, gdy ubodzy wszystko z domu wybrali, oto były zwyczajne obiady Plebana. Ale apetyt i wesołość w sercu, czyniły je smacznemi. Proboszcz pożywiwszy się zupą z suchego chleba i złożywszy swe dziękczynienie, zwykł był mawiać do Mikołaja: „Moje dziecię, ten obiad będzie ci korzystnym na długo, bo on cię uczy, iż można przestawać na małem.“

Mikołaj przystąpił pierwszy raz do stołu Pańskiego. Znał doskonale katechizm, umiał historyą świętą, umiał z pięćdziesiąt kantyczków, a żaden z ministrantów nie znał lepiéj obrządków kościelnych od niego, ani umiał wdzięczniéj śpiewać na chórze. Codziennie przed mszą Pleban znajdował chwilę czasu, by go objaśnić o święcie, jakie obchodził kościół święty. Kościół katolicki czci Świętych, którzy żyli we wszystkich czasach, miejscach i stósunkach; te opowiadania, do których powracano wieczorami, składały przez długi czas lekcye historyi powszechnéj, gdzie wielkie zdarzenia przeszłości, ludzie sławni, charaktery odznaczające się, opisania jeograficzne, wszystko łączyło się i wyryło w umyśle Mikołaja, przytém tysiące przepisów mądrych i pocieszających, tysiące przykładów cnót najwznioślejszych, zupełnego poddania się woli boskiéj w cierpieniach i ciągłéj opieki Boga nad tymi, którzy go kochają, Jemu

chcą służyć, głęboko wrażały się w serce jego. — „Moje dziecię“, rzekł Pleban, „dając ci te nauki, daję ci majątek. Inszego nie odziedziczysz po mnie. Zachowaj je dobrze i pamiętaj zawsze, że najlepszy sposób zachowania ich jest, wypełnianie ich ile możności.“

Mikołaj niezaniedbał tego; i gdy napotkał dzieci swego wieku, opowiadał im owe piękne legendy, a wszystkie kochały go za to. Był on bardzo szczęśliwy; gdyby był myślał o przyszłości, niebyłby sobie w niéj większego życzył szczęścia. Ale pleban zalecał mu zawsze, by się nietroszczył o jutro i by usiłował codziennie podług możności dobrze czynić, mówiąc, iż człowiek dosyć się stara o los swój, którego Bóg sam jest panem, gdy czuwa ciągle, by nie obrażać tego władzcy, przez krótki czas swego istnienia, bo z jednéj strony każdy człowiek jest pewien, że umrze i będzie sądzony, a z drugiéj nikt nie wie chwili swéj śmierci. Więc téż Mikołaj nie troszczył się o nic i oczekiwał tylko z niecierpliwością dni świątecznych. W tych dniach ubrany w swą najcieńszą komżę, niosąc krzyż, albo kropielnicę, słuchając śpiewów świętych, modląc się, niewiedział, by mógł być los szczęśliwszy niż jego. Nic nie jest trwałem na ziemi; gdy lata szczęśliwie minęły, mówimy zwykle, że przeszły jak jeden dzień; bo szczęście nie jest rzeczywistem na ziemi, i niepojmujemy go tak jak snu, dopiero gdy minie. Człowiek szczęśliwy w zrozumieniu zwyczajném tego słowa, jest jak człowiek śpiący, który nie wie, iż śpi. To, co zwykle nazywamy szczęściem, jest niby senném wspomnieniem, gdzie minione troski przeszłości odbijają od przykrości teraźniejszych. Cierpienie tylko daje czuć właściwie to życie. Ja nie mienię szczę-

śliwym, tylko dziecię w swych niewinnych igraszkach i człowieka z gruntowną cnotą i rozumem, który silny nadzieją boskiéj nagrody, cierpi i cieszy się z cierpienia, bo wie, iż przez to zasłuży sobie na rozkosze niebieskie, i pewny jest, że cierpienia jego przeminą, lecz nadzieja jego nie minie!

Pewnego wieczora, gdy właśnie Mikołaj przetłumaczył był, z wielkiém zadowolnieniem Plebana, całą kartę z książki łacińskiéj, starzec dostał nagle napadu apopleksyi. Wsparty na chłopcu zawlókł się do łóżka, a położywszy się za jego pomocą, rzekł: „Mój synu, zdaje się, iż moje życie schyla się ku końcowi. Udam się wkrótce na spoczynek po trudach, do Tego, któremu usiłowałem zawsze służyć wiernie.“

Nie mylił się; przywołany lekarz oznajmił, iż tylko kilka chwil do życia mu zostaje.

Wypełniwszy więc ostatnie przepisy religii czcigodny człowiek, spokojnie oczekując śmierci, zawołał Mikołaja i mówił do niego w tych słowach: „Wkrótce mnie stracisz mój synu, lecz Bóg zastąpi mnie dla ciebie. Nauczywszy cię znać go i kochać, dałem ci wszystko, co dać byłem powinien. Umieram spokojnie, bo wiem, iż potrafisz uprosić go o chleb powszedni, Jego, który wszystko posiada!“

„Nie lękaj się, że jesteś słabym, biednym i sierotą. Bóg kocha biednych i słabych. Pozbawiając cię pomocy ludzkiéj, widać, że sam chce opiekować się tobą. Bądź więc spokojny, Bóg stanie ci za rodzinę, a za bogactwo łaska jego. Wszystko jest w ręku Boga; on obdarza, on odbiera, on wznosi i poniża; choroba i zdrowie, śmierć i życie, od niego zawisły. Nie masz potęgi ziemskiéj, któréjby on w jednéj chwili zniszczyć nie zdołał. Jego łaska jest

jedyném dobrem trwałém; pracuj nad tém, byś stał się jéj godzien, a nikt ci jéj wydrzeć niepotrafi, i żaden człowiek nie będzie bogatszym nad ciebie. Nie chcij obznajmić się z fałszywościami świata, byś także ich niepolubił. Znasz przykazania boskie i kościelne. Zachowuj je w każdéj okoliczności, pomimo wszelkiéj pokusy, a jeżeli z niemi nie zawsze ci się poszczęści, ciesz się, iż ci się nie poszczęściło.

„Nie daj się znękać złéj doli, nie trać odwagi w nieszczęściu.... Podobnie jak rólnik, który rozdziera ziemię, by w nią rzucić ziarno, mające go zbogacić; tak Bóg gotuje nam często szczęście w przyszłém życiu, przez zsyłanie nam boleści w teraźniejszém.

„Spodziewaj się zawsze znaków jego dobroci, a gdy ześle ci to, co potrzebujesz, kontentuj się. Czegóż potrzeba ci więcéj? Wędrowiec ugasi pragnienie czerpając dłonią wodę ze strumyka; gdyby ją pił z srebrnego naczynia, czyżby się lepiéj pokrzepił? Gdy sen wzmocnił nasze siły, za jedno, gdzieśmy spoczywali.

„Nie daj się uwieść świetnym nadziejom, gdyby one wymagały po tobie czynów przeciwnych twym obowiązkom. W ten to sposób źli ludzie przychodzą do bogactwa. Lecz nic nie jest tak gorzkiem i przykrem, jak skarby w ten sposób nabyte. Mniéj oni używają tych bogactw, jak są dręczeni wyrzutami sumienia, a te wyrzuty trwają do dnia sądnego, kiedy dobra ziemskie dawno już zniknęły. Byś nie lekce ważył twéj duszy, czyń wszystko w myśli o dniu sądnym.

„Obowięzuj chętnie twych braci, ile razy ci się do tego zdarzy sposobność. Służ im twym kosztem, nawet z utratą własnego spoczynku. Służ im pomimo gustu twego, pomimo rozsądku, strzegąc się tylko

przywodzić ich do grzechu, lub grzeszyć razem z nimi. Poświęcaj im chętnie twe usługi, twe prace, twą jałmużnę. Jest to nasienie, padające zawsze na urodzajną rolę, która obfity plon wyda na tamtym, a czasem i na tym tu świecie. Gdy ciebie, biedna istoto, przyjąłem do siebie, który nie miałeś rozeznania, by mnie poznać, ani słów, by swą wdzięczność wyrazić, nieprzewidywałem, jak mi się użytecznym staniesz, a jednak Bóg zesłał mi przez ciebie najsłodsze pociechy, jakich w mém życiu doznałem. Czyń tak samo, Bóg tak samo z tobą uczyni.

„W każdém zdarzeniu nie myśl o niebezpieczeństwie, lecz o powinności. W zwykłym biegu rzeczy trzeba być roztropnym, lecz, gdy Bóg wskaże nam jaką powinność, trzeba ją wypełnić, a to jest słodkiém pomimo przykrości. Jednakże bąć skromnym nawet poświęcając twe życie. Sława, któréj chrześcijanin szuka, niepowinna zakładać się na próżnych oklaskach. Cóż mu potém, czy zostawi, lub nie, jakie wspomnienie po sobie, na tym świecie, który przeminie? Miéjmy dobre miejsce w wiecznéj pamięci Boga, a świat niech nie wie nic o nas. Usiłuj nabyć wiadomości, ile ci to będzie możebnem, nie z żądzy wiedzy, lecz by mieć tém więcéj środków do służenia twym bliźnim. Jeżeli nie będziesz miał czasu, pytaj się ludzi, co wiedzą, myślą i czynią. Dadzą ci oni wiele środków pociechy. Lecz przedewszystkiem usiłuj wydobyć dobry owoc z twych nieszczęść, korzystając z nich do nabycia najtrudniejszéj w świecie cnoty, cierpliwości, z którą się wszystko pokona.

„Me siły słabną, bądź zdrów mój synu..... Wspomnij mnie w swych modłach... połóż w Bogu twą ufność i przyjm me błogosławieństwo!“

Głos i życie starca zagasły po tych słowach. Krewni jego opieczętowali skromną jego puściznę i kazali Mikołajowi opuścić mieszkanie. Pocałowawszy po raz ostatni martwą rękę swego dobroczyńcy, tę rękę, która go tak długo karmiła i tyle razy błogosławiła, biedny sierota udał się do mieszkania poczciwéj gościnnéj na przedmieściu. Ta pytała go, co począć zamyśla, i ofiarowała się przyjąć go do siebie, dopókąd nieznajdzie innego schronienia. Lecz on wiedział, iż biedna ta kobieta nie była zamożną, podziękował jéj więc i powiedział, że pójdzie do Bordeaux, gdzie mieszkał przyjaciel zmarłego jego pana, któremu był znanym i który mu już dawno swą przyobiecał opiekę. Mikołaj nie zmyślał. Jednakże byłby wolał pozostać u dobréj gościnnéj, lecz ta była tak ubogą, że go wcale nie nagliła. Mikołaj przekonany przeto o jéj nędzy, cieszył się z swego postanowienia i naznaczył swój odjazd na dzień następujący po pogrzebie Plebana. Był sobie przedsięwziął jechać pocztą do Bordeaux, mając przy sobie małą kwotę pieniędzy, którą dobry Pleban przez wiele lat zbierał dla niego. Lecz gdy liczył ten drobny skarb przy dzieciach gościnnéj, te zawołały: „Ach Mikołaju, jak ty jesteś bogaty? gdyby nasza matka miała tyle pieniędzy, kupiłaby nam ciepłą odzież na zimę i pozbyłaby się tych natrętnych ludzi, którzy codziennie dręczą ją o zapłatę.“

Mikołaj uczuł ściśnienie serca. Nic nie mówiąc udał się na spoczynek, lecz gdy dzieci były usnęły, wstał pocichu i włożył trzy części swoich pieniędzy, pod poduszki starszego. Nazajutrz ze świtem pożegnał się z gościnną, która go ze łzami uściskała, i odjechał ubogi wprawdzie w pieniądze, lecz pełen słodkiéj radości, mówiąc do siebie, iż pierwszy raz

wychodził z tego domu słabszym, biedniejszym i większemu podległy niebezpieczeństwu.

Można sobie łatwo wystawić, iż Mikołaj podróżował powoli. Jednakże jego podróż mniéj była utrudzającą, niżeli sobie wystawiał. Pogoda mu sprzyjała i dobre spotykał serca. Ludzie są czasem złośliwi i nieużyci dla siebie, lecz wszyscy zajmują się dzieckiem, okazującém rozsądek i odwagę. Często gdy chciał zapłacić w jakim domu za nocleg, niechciano przyjąć nic od niego, lecz zmuszono go jeszcze do przyjęcia żywności na drogę. Mikołaj przyjmował chętnie te dary dobrego serca, lecz dzielił się niemi z pierwszym ubogim, którego spotkał w drodze. Inny raz woźnica jaki zabrał go kawał drogi ze sobą, czasem wieśniaczka pozwoliła mu miejsca na swym ośle, a zachwycona jego roztropną rozmową, zaprosiła go do siebie na obiad, nim w dalszą udał się drogę. Jednéj soboty gdy wszedł do kościoła, by się pomodlić, Pleban spostrzegł go, zaczął go wypytywać, a ucieszony jego odpowiedziami zaprosił go do siebie, chcąc go zatrzymać przez niedzielę, i Mikołaj miał sposobność służyć do Mszy św., jak w swéj drogiéj parafii św. Mikołaja.

Nakoniec przybył do Bordeaux szczęśliwie, niewydawszy prawie nic ze swych pieniędzy, pomnożywszy nie mało liczbę swych znajomości i zmocniwszy znacznie swój rozum i odwagę przez doświadczenie pierwszych zwyciężonych trudności.

Znalazł swego nowego opiekuna na wyjeździe do obcych krajów. Był to człowiek uczynny, ale rubaszny i prędki. „Czy chcesz bym cię tu oddał do jakiego zakładu, lub czy wolisz jechać zemną“, rzekł, „daję ci godzinę namysłu.“

Noel pomodlił się w duchu i pomyślał, że wiele

korzystał już z swéj małéj podróży, i że temu panu tak ostremu potrzeba byłoby kogoś łagodnego i wiernego. Jednakże wachał się jeszcze. „Gdzież pojedziemy?“ zapytał nieśmiało. „Do Rzymu“, odpowiedział pan. To imie Rzym zdecydowało Mikołaja i nazajutrz wyjechali.

Nie będziemy towarzyszyli naszemu sierocie w przeciągu jego podróży, która kilka lat trwała. Powiemy tylko, iż pomny dobrych nauk Plebana, starał się ciągle zbogacać swój rozum. Nie masz człowieka, któryby nie wiedział czegośkolwiek i nie mówił chętnie o tém, co wie. Mikołaj rozmawiając z tymi, których napótkał, i słuchając z uwagą tego, co mówili, czerpał w tych rozmowach prawdziwą naukę, i jak mówił, znajdował się ciągle, pomimo swego tułaczego życia, wśród księgozbioru, którego księgi otwierały się dla niego w najbardziéj zajmujących miejscach. Uważał także sposoby handlu, metody agronomiczne, starał się nauczyć języka kraju, w którym bawił, a w przeciągu sześciu lat swojéj podróży jako sekretarz czyli służący, nauczył się po włosku, po angielsku i po niemiecku; poznał sztuki piękne i starożytności, wydoskonalił się w historyi powszechnéj, tak dobrze zaczętéj już przez Żywoty świętych; ale przedewszystkiem nauczył się tak doskonale znać ludzi i swe własne serce, iż jego rozum był wykształcony nad wiek jego, i poznał sam, iż żadne wychowanie nie mogło być lepszém jak to, które mu udzieliły ubóstwo, trudy i nieszczęście.

Po swoim powrocie do Bordeaux wielki tego miał dowód. Jego pan dotknięty wielkiém, niespodziewaném nieszczęściem, widział w krótkim czasie prawie cały swój majątek zniszczony.

W téj złéj doli, ten człowiek, któremu nie zby-

wało jednakże na rozumie i odwadze, lecz przywykły do dostatków nie umiał cierpieć ubóstwa, stracił głowę i oddał się rozpaczy. Mikołaj uważając z zimniejszą krwią to nieszczęście, przedsięwziął środki do złagodzenia go.

Podał swemu panu myśl spekulacyj handlowych, która mu przyszła w podróżach jego po Anglii i Hiszpanii. Zajął się tém z zapałem, biegł z kraju do kraju, i spekulacya udała się przedziwnie. Jego pan pełen wdzięczności, nazywając go swym dobroczyńcą, ciesząc się powrotem dostatków, chciał się podzielić z nim majątkiem, który mu całkiem zawdzięczał. Lecz Mikołajowi inne losy i inne próby przeznaczone były. Wśród swéj radości i dalszych zamiarów, pan jego umarł, zostawiając tyle tylko majątku, ile potrzeba było do zaspokojenia dłużników. Mikołaj miał teraz lat 22 i nie był o nic bogatszym, jak wówczas, gdy pleban jego umarł. Ale dzięki temu, co się nauczył; wiedział, co mu czynić wypadało; a przez swą ufność w Bogu, teraz już wyrozumowaną i opartą na długiém doświadczeniu, czuł się wyższym nad ciosy losu.

Mikołaj zachował zawsze chęć zobaczenia dobréj gościnny w P...., chciał więc teraz uczynić zadosyć temu życzeniu serca swego. Z kijem w ręku i sakwą na plecach, wyszedł pieszo z tego miasta, tak jak wszedł do niego. Z jakiémże wzruszeniem ukląkł przy skromnéj mogile Plebana, przed zardzewiałym krzyżem na grobie Małgorzaty i u stóp ółtarza w tym kościółku, gdzie go Bóg zawiódł śpiącego na rozhukanych bałwanach rzeki. Słodkiém to było dla niego uczuciem, iż mógł rzec sobie, że nie zapomniał tak wielu dobrodziejstw, i że wśród wszystkich jego doli Bóg nieodmawiał mu swéj opieki. „Je-

szcze dotąd jestem na burzliwych falach, mówił do siebie, ale dobroczynna ręka Jego, która mnie wówczas ocaliła, jest zawsze równie wszechmocną, i potrafi zawieść mnie do przystani.“

Przybywszy do gościnny, zastał ją bardzo zmartwioną. „Mikołaju“ rzekła, „już nam się zaczęło wieść łepiéj, a twój dar lubo mały, był nam nie mało pomocnym. Lecz mój syn w chwili nierozwagi zapisał się do wojska. Był on moją podporą, a bez niego wszystko źle idzie, upada. Wie on o tém, żałuje swego postępku i radby powrócił, lecz niepodobno nam wykupić go. Nie wiemy sami co począć. A ty moje dziecko, cóż robisz? Jak ci się powodzi? — „Podróżuję“, odpowiedział Mikołaj, „i odwiedziłem was przejeżdżając tędy. „Żałuję bardzo, że was znajduję w kłopocie, lecz nie traćcie ufności w Bogu.“

„Niestety, mówią, że będzie wojna; jakże trudno nierozpaczać!“ odpowiedziała gościnna.

W tydzień potém syn gościnny był znów przy matce, a Mikołaj Noel w wojsku, w pólku mającym wychodzić do Afryki.

„Otóż“, pomyślał, wsiadając na okręt, „spełnia się jedno z mych życzeń najgorętszych. Od dzieciństwa tęskniłem za tém, by zobaczyć Arabię, ojczyznę świętego Augustyna.“ Noel był dobrym żołnierzem, bo pamiętał na słowa Plebana: „nie myśl o niebezpieczeństwach, lecz o powinnościach.“

Powzięto wkrótce tyle zaufania w jego odwagę i wytrwałość, iż razu pewnego gdy było potrzeba człowieka z odwagą i poświęceniem do wykonania bardzo trudnéj wycieczki, przełożeni wybrali Mikołaja, a on wypełnił tak dobrze to polecenie, iż jenerał ozdobił go krzyżem honorowym.

W bardzo krótkim czasie Noel przebył niskie

stopnie wojska, a gdy pułk jego powrócił do Francyi, był już oficerem. Przez cnoty, sierota byłby mógł utworzyć sobie rodzinę. Niebyło nikogo w pułku, ktoby go nie kochał, i nie cieszył się z jego wywyższenia. Jego położenie było przyjemném; pierwszy raz w życiu uczuł w sobie dumę i pomyślał o przyszłości.

Widział wszystkie zawody przed sobą otwarte, bo z rozumem i umiejętnościami każdą przeszkodę usunąć łatwo. Potrzebował tylko pozostać w Afryce, a w przeciągu mniéj, niż lat dziesięciu, mógł do najwyższych dojść godności.

Umiał kilka języków, posiadał różne wiadomości, miał rozum oświecony, smak dobry, wyobraźnią wzniosłą, mógł oddać się naukom lub literaturze, był pewien zewsząd pomocy. Jego wiadomości handlowe już mu były posłużyły. Teraz daleko łatwiéj byłby mógł z nich korzystać. Znał dobrze wielkie polityczne znaczenie, które osiągnęli nietylko skromni kupcy, ale nawet robotnicy.

Rozmyślał, rozważał nad korzyściami i przykrościami każdego zawodu, i nakoniec postanowił zostać tém, czém jest dzisiaj.

A czémże jest?

Powiedział sobie, iż dosyć widział rzeczy, dosyć obiegł krai. Że Opatrzność dosyć obsypała go swemi darami, i że powinien oddać trochę drugim z tego, co od niéj odebrał; iż nic nie jest piękniejszego, jak być użytecznym; nic przyjemniejszego, jak być nieznanym; nic pewniejszego, jak być ubogim; nic korzystniejszego, jak rozszerzać dobre wiadomości i dobre wyobrażenia. A powiesiwszy swój pałasz na gwoździu, włożywszy swój krzyż honoro-

wy do kieszeni, został..... Bratem nauki chrześcijańskiéj.

Louis Veuillot.

Szeląg św. Piotra.

W miesiącu Czerwcu, roku bieżącego, Pleban pewnéj wioski w okolicy Krakową zalecił z ambony swym parafianom, by składali podwójną pomoc Ojcu św., t. j. jałmużnę i modlitwę.

Po nabożeństwie wieśniacy zgromadzili się licznie na plebanii. Zrobiono składkę, która wynosiła dwadzieścia złotych. Jestto mało dla Ojca św., wiele na biednych wieśniaków. Dodadzą do tego szczere życzenia i gorące modlitwy; lecz trzeba, aby Pius IX. odebrał zapewnienie o tém, z własnych ust, jednego z deputowanych parafii, który się uda w podróż do Rzymu pieszo i żebrząc.

Krzepki wieśniak, liczący około czterdziestu lat, ojciec licznéj rodziny, podnosi się wśród zgromadzenia, i nie wiedząc o tém, powtarza słowa Izajasza: „Oto jestem, poślijcie mnie, *ecce ego, mitte me.*"

W kilka dni potém posłaniec pobożny, włożywszy do swéj skórzannéj torby składkę dwudziestozłotową, wybrał się w drogę. Idąc śmiało pod opieką swego anioła stróża, przemyśliwał, jakich użyje wyrazów do swojéj przemowy, przy oddawaniu pieniędzy. Tło do tego miał już w swém poleceniu; temi słowy chciał zacząć: „Ojcze przenajświętszy, oto macie dwadzieścia złotych, które wam ofiaruje uboga wioska polska; ale wierzajcie, iż niemożemy wam dać więcéj jak tyle; lecz bądźcie przekonani,

Ojcze święty, że w całém chrześcijaństwie nie masz miejsca, gdziebyś był więcéj kochany, jak u nas."

Bóg tylko sam zna przykrości, które miał do zwalczenia nasz podziwienia godzień pielgrzym, i ile doznał biedy wszelkiego rodzaju. Jaką właściwie szedł drogą, nikt nie wie dokładnie. Nakoniec przybył do miasta, większego niż wszystkie, które dotąd napotkał. „Jestto zapewne Rzym", pomyślał. Lecz nie..... Powiadają mu, iż to jest, niepamiętam już które, miasto państwa Sardyńskiego. Policyanci turyńscy żądają od niego papierów; oddaje je w dobréj i powinnéj formie; wypytują go o przyczynę téj podróży. Przyznaje się prostodusznie, że idzie do Rzymu, i niesie szeląg św. Piotra Ojcu świętemu.

Szczęśliwe odkrycie! Jestto szpieg, wichrzyciel spokojności! Rozbójnik, którego trzeba powiesić, albo przynajmniéj odrżeć aż do skóry. Zaprowadzono go do więzienia, przetrząśnięto i odebrano mu jego skarb, który wprawdzie nieodpowiadał niezmiernéj chciwości dozórców jego. Cóż to jest dwadzieścia złotych w otchłań, która wszystko pochłonęła?.......

Po dwóch długich tygodniach, w których często zabrakło chleba i wody naszemu kochanemu więźniowi (jak się sam poźniéj wyraził), został nareście wypuszczony jako waryat, czyli jako niemogący opłacić kosztów więzienia.

Uwolniony od swego ciężaru dwudziestozłotowego, biegł teraz lżéj i prędzéj do upragnionego celu, wśród tysiąca nowych niebezpieczeństw. Bóg doprowadził go za rękę aż do skromnego pokoiku, gdzie Ojciec święty daje swe prywatne posłuchania. Przypatrzmy się temu zéjściu chłopka z Papieżem. Niebo uchyliło się także, Święci z raju patrzą razem z nami.

Po ucałowaniu nóg, dobry wieśniak został klęcząc przed Piusem IX.

Jego postać jest wysoka i silna, oczy niebieskie, włosy jasne spadają mu na ramiona, twarz pełna wyrazu poczciwości. Ubrany jest w białą, długą sukmanę. Trzyma w ręku wielką czapkę z szarego baranka i ogromny różaniec.

„Najświętszy ojcze“, rzecze, „niosłem dla was dwadzieścia pięknych złotówek, lecz mi je ukradziono w więzieniu. Była to składka z mojéj wioski, w któréj jesteś kochanym, jak nigdzie na świecie! Przyjmij przynajmniéj życzenia serc naszych, bo na teraz nie możemy Wam ofiarować nic więcéj.“

Mowa najpotężniejszego władzcy świata niebyłaby większego zrobiła wrażenia na duszy czułéj i kochającéj Piusa IX.

Otóż dwóch ludzi, którzy zajmują na ziemi dwa krańce na wielkiéj drabinie społeczeństwa ludzkiego, a jednakże ich modły i ich dusze zlały się w jednę całość; ich wspólne życzenia wznoszą się ku niebu, a rozmowa, którą prowadzą, jest najpiękniejszym hymnem, jaki ludzkię usta śpiewać mogą na cześć papiezką.

Jestto powszechnie wiadome ludziom rozsądnym, iż rewolucya rzuciła na ramiona Ojca świętego ciężar wspomagania niezliczonych jéj ofiar. Dochody z prowincyj wydartych należą do króla za Alpami, a ciężar ich dla Rzymu.

Liczne rodziny porzuciły wszystko, co posiadały w l'Ombrie, by ocalić swe życie i honor. „Możeż Ojciec święty ścierpieć, by umierały teraz z głodu? Codziennie powstają nowe nieprzewidziane potrzeby. Naprzykład: Czy podobno było, by odmówił wsparcia temu poczciwemu wieśniakowi na powrót jego do

ojczyzny? Chciano go odesłać do Polski przez Ankonę i Wenecyą, lecz że ta droga nowe stawiała mu niebezpieczeństwa, przekładano drogę przez Francyą. W niedzielę 1. Września w południe, wyjechał prosto z Civita-Vecchia do Marsylii na statku parowym Watykan. Gdy jego miejsce w trzeciéj klasie było zapłacone, nie zostało mu ani grosza. Na tym samym statku znajdowało się 250 żołnierzy francuzkich, uwolnionych z wojska włoskiego.

Nasz Polak umieszczony z nimi na pokładzie, zwracał na siebie powszechną uwagę swém dziwaczném ubraniem i swą olbrzymią postawą. W przeciągu godziny znaną już była jego przygoda.

Postanowiono więc, iż przy każdym obiedzie „czcigodny ojciec polski“ zabierać będzie pierwsze miejsce przez szacunek, jaki się należy nieszczęściu. Pomyślano nawet o złożeniu się dla niego na wygodny powrót do rodzinnéj strzechy.

Jeden pan polski, podróżny jak my, ujrzawszy ziomka, podziękował naszym życzeniom i zajął się składką. Wszyscy spieszyli z darami; gdy przyszła na mnie koléj, z piękną delikatnością uczuć prosił, bym oddał sam moją skromną ofiarę jego ziomkowi, mówiąc, iż sam widok mojéj rewerendy wzmocni go i pocieszy. Mój dar miał poprzedzić inne, daleko większe jak kropla deszczu przed ulewą.

Udałem się na pokład do mego miłego brata w Chrystusie, który stał oparty o galeryę.

Spozierał na obszary wody i nieba, odmawiając różaniec. Nie znał on jeszcze współczucia, jakie jego poświęcenie w nas wzbudziło; uchwycił mą drżącą rękę, którą wyciągnąłem ku niemu z miłością. Natychmiast upadły z jego ócz kilka łez, które mnie

do tym większego płaczu zniewoliły. Te tylko mowę mieliśmy wspólną i zrozumieliśmy się zupełnie.

W środę 2. Września około dziesiątéj przybyliśmy szczęśliwie do przystani Joiletty. W środę nasz czcigodny towarzysz podróży pojechał koleją żelazną z Marsylii do Paryża i do Polski.

Współczucie opatrzyło go we wszystko. Lubo go tylko kilka chwil widziałem, jego obraz wyrył się w mojém sercu. Wspomnienie o nim, będzie mi przyjemne przez całe me życie. Kilka dni potém szlachetny Pius IX. raczył przyjąć mnie w prywatném posłuchaniu. Każde z słów jego było mi nauką. Opowiedziawszy mi przykre położenie, w jakie go wtrącono, Jego Świętość rzekła z uśmiechem pełnym słodyczy i ufności w Boga: „Mój synu, powracasz do Francyi, ogłoś tam wszystkim, iż nie mam ani szeląga.“

Rozgłosiłem już dosłownie i jak najobszerniéj tę smutną prawdę: „Ojciec święty nie ma ani szeląga.“

Dzisiaj, by otworzyć dla niego wszystkie worki wielkie i małe, przytaczam przykład wieśniaka polskiego.

L'abbé Laubies.

Rozmaitości.

Myśli i zdania, wyjęte z celniejszych pisarzy.

1. Łatwo w niedoli pogardzać życiem; mężniejszy, kto umie być nieszczęśliwym.
2. Chciéj być tém, czém jesteś, a niczém inném.
3. Często człowiek znany aż nadto u świata, umiera sam się nie znając.